ROK III. Nr. 16 (116). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem 19 kwietnia 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



CZŁOWIEK, KTÓRY SIĘ NIE ŚMIEJE (patrz art. na str. 338) (fot. Metro)



New-York według sztychu z roku 1830.

PANI PRASA

I. W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Wielka i można władczyni, PANI PRASA, doszła do szczytu potęgi w St. Zjednoczonych, jako że słusznie ktoś powiedział, iż rozrost prasy stoi w ścisłej zależności od stopnia powszechnego dobrobytu w danym kraju.

Bo istotnie, jeśli sto lat temu pewien młody Szkot, nazwiskiem Gordon Bennett, rozpoczął w małym New Yorku, liczącym podówczas mieszkańców na tysiące — wydawanie *New York Herald'u* przy świetle kopcącej łojówki, to dziś ten sam organ, ukazujący się w miljonach egzemplarzy w największej metropolji świata, jest zaledwie jednem z wielu pism na gruncie New Yorku.

Ściśle mówiąc — a operować będziemy zawrotnemi cyframi — *New York Herald* jest jednem z 2.332 dzienników amerykańskich, ukazujących się obok 12.920 tygodników i 3.709 miesięczników. Miljonowy jego nakład stanowi cząstkę 44 miljonów egzemplarzy dzienników, wydawanych w 24 językach. Jego kolosalne wpływy z ogłoszeń toną w ogólnej cyfrze, osiąganej corocznie z tego źródła, a wynoszącej 800 miljonów dolarów.

Rzecz prawie nie do wiary — a jednak...

Przy bliższem zapoznaniu się z temi danemi — dochodzimy do wniosku, iż na pojedyńczą rodzinę amerykańską wypada półtora egzemplarza dziennika. Wszyscy czytają za Oceanem, a jeśli kto tego nie czyni, uchodzi za wyjątek, sam we własnej osobie przechodzi na łamy gazety, jako temat do sensacyjnego artykułu.

W odniesieniu do strony narodowościowej sprawa przedstawia się bardzo ciekawie, gdyż okazuje się, iż ilość różnojęzycznych wydawnictw wynosi 130 dzienników o nakładzie 2.500 tys. egz. dziennie, 390 tygodników i miesięczników o nakładzie 2.830.000 egzemplarzy. Pierwsze miejsce pod względem ilościowym zajmują tu wydawnictwa w języku niemieckim (22 dzienniki), drugie zdobyła Polonja (18 dzienników), następnie idą pisma żargonowe (11) oraz włoskie i francuskie (po 10). Pod względem nakładowym sprawa przedstawia się następująco:

żargonowe	— 580.000
niemieckie	— 380 000
włoskie	— 370.000
polskie	— 350 000
węgierskie	— 90.000
francuskie	— 70.000
greckie	— 70.000
japońskie	— 65.000

Ostatnie miesce zajmują pisma chińskie w ilości 4-ch z nakładem 18.000 egzemplarzy.

Co stanowi o potędze prasy amerykańskiej? Oczywistą jest rzeczą, iż nakłady te, oddawane po śmiesznie niskiej cenie, nie przyniosłyby zysku, gdyby nie reklama. Miejsce nie pozwala nam na ścisłe wykazanie klucza, którym kierują się wydawcy — dość powiedzieć, że reklama zajmuje do 70 proc. objętości pisma, ceny inseratów wynoszą do kilkunastu tysięcy dolarów za pojedyńczą stronę, a ogólne obroty, jak rzekliśmy — 800 miljonów dolarów rocznie. Stosunek ten da się ująć w ten sposób, iż wpływy z ogłoszeń trzykrotnie przewyższają obrót, osiągnięty ze sprzedaży, w wydawnictwach zaś perjodycznych stosunek ten wyraża się jak 2 do 1.

Nie mniej znamiennym jest faktem to, iż w ciągu ostatnich dziesięciu lat nakłady wzrosły o 39 proc., wpływy zaś z ogłoszeń o 60 proc.

Tyle z dziedziny cyfr. Przechodząc do bliższej analizy prasy amerykańskiej, przyznać musimy, iż poziom jej nie jest zbyt wysoki. Razi to zwłasz-



Serce New Yorku, Broadway, przed stu laty.

cza w perjodykach, z pośród których możemy wymienić zaledwie kilka, zasługujących na uwagę, jak *Saturday Evening Post, Mc Call's, Vanity Fair, Vogue, Ladies Home Journal, Liberty, Colliers* i parę innych. Ogromna większość pism redagowana jest dość szablonowo, gdyż bogaty materjał, dostarczany przez potężne agencje z *Associated Press* na czele, drukowany jest w stanie, że tak powiem, półfabrykatu.

Przypatrując się tej robocie na miejscu, Paul Morand zauważył nie bez słuszności, iż o potędze prasy amerykańskiej stanowi nie tyle geniusz wielkiego publicysty, ani sensacyjny reportaż, ani wreszcie frapująca informacja, cała rzecz na tem polega, iż stoimy wobec potężnego potoku, którego żadne tamy nie są w stanie utrzymać, wobec mocarnego przypływu, pozbawionego myśli, wobec czarnej toni stawu, w którym w tonnach farby drukarskiej drzemią anonimowe wyrazy. Niema na to rady — trzeba się poddać i czekać cierpliwie... do dwunastej. Bowiem o parę minut później wszystko już jest zapomniane. Sto lat temu — jak mówi Ludwig— kiedy pisma wychodziły raz lub dwa razy na tydzień, Goethe pisał, iż przewiduje ten straszny czas, kiedy gazety ukazywać się będą aż trzy razy dziennie.

Prasa amerykańska pobiła wszelkie rekordy, zapominając wszakże o jednem, iż zbyt wartki prąd unosi ze sobą myśl — mało pozostawiając społeczeństwu, któremu winna służyć. Dowodem chociażby ogromny rozrost prasy brukowej, wyspecjalizowanej w babraniu się we wszelkiego rodzaju nieprawościach, których błotem zamula umysły czytelników i rozwija w nich zaciekawienie do najtańszej sensacji.

Zjawisko to, niestety, jest w mniejszym lub większym stopniu znamieniem czasu na całym świecie.

Trudno — *c'est la vie!...*

Er.



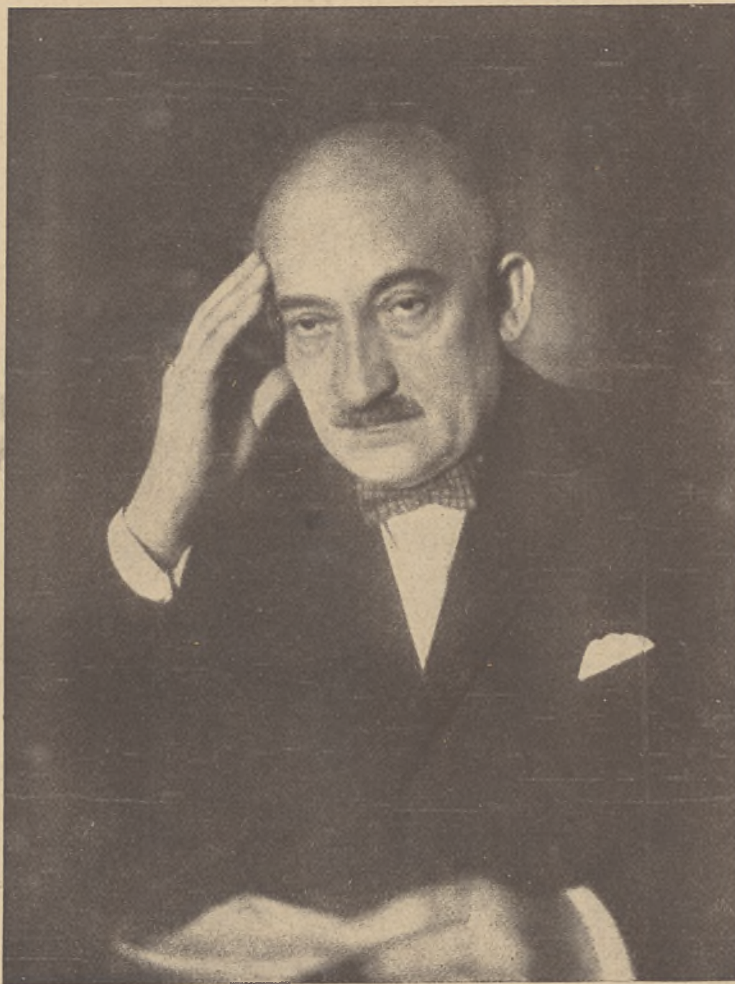
Rekordzista wynalazków, Th. Edison, jest jednocześnie człowiekiem, którego podobiznę pisma amerykańskie zamieściły w rekordowej ilości kilku miljonów fotografji. Ilustracja nasza jest mało znaną podobizną słynnego uczonego w wieku lat 13-tu.



William Randolph Hearst, największy potentat prasowy w Stanach Zjednoczonych stoi na czele trustu, łączącego 27 dzienników i kilka tygodników. Nazwisko jego jest znane na kontynencie europejskim z powodu decyzji francuskich władz bezpieczeństwa wydalenia go z granic Francji.

Dziewięćdziesięcio trzy letni kupiec winny, Henry Mouquin, słynący ze swych oryginalnych poglądów zwalczania wszelkich udoskonaleń współczesnych. Staruszek nie uznaje telefonu, elektryczności, radja, samochodów i nie czytuje gazet, które uważa zwłaszcza za największą plagę wieku. A no cóż — każdy wiek ma swoje prawa!...

W czwartym wymiarze



Psycho-grafolog Rafał Scherman.

Świat jest szary, świat jest nudny, świat jest okrągły... To ostatnie pojęcie nasuwa nam obraz zamkniętego okręgu, na którym każdy punkt jest jednocześnie początkiem i końcem... Początkiem—poznaniem i końcem—rozkładem... Zda się napozór, że nic poza równaniem okręgu koła nie istnieje... Owszem, są gdzieś tam, daleko, inne kółeczka maszynerji świata, rozrzucone w niezmierzonych przestrzeniach poto, by pędzić ku jakiemuś przeraźliwie wielkiemu, a nam niezrozumiałemu celowi. Niczem maszynerja w zegarku... Niewielkie płaszczyzny coraz dokładniej badane przez szkiełka mędrców...

Jednakże w tem wielkiem perpetuum mobile wszechświata, istnieje jakieś niewidzialne źródło energji, które musiało je pchnąć do biegu po wieczystym torze, jakaś emanacja tajemniczych mocy, która otacza nasze drobne kółko ziemskie węzłem niedotykalnych prądów... Coś, czego nikt nie obliczy i nie zamknie w ciasnem więzieniu wzorów matematycznych... Coś, co się nieustannie wymyka precyzyjnym przyrządom ułomnego mózgu człowieka... Coś, co istnieje, a czego niema...

Czwarty wymiar... Stereometryczne bryły niewidzialnego, przebywającego wszędzie i nigdzie... Niepoznawalne, a jednak przeczuwane... Niedostrzegane prawo, wypisane w otwartej, a jednak nieczytelnej księdze wszechświata...

Nadnaturalność, nadzmysłowość... To ostatnie określenie jest najwłaściwszem dla czegoś, co wymyka się z pod kontroli naszych zmysłów... Czy jednak wymyka się zupełnie?... Są ludzie, którzy twierdzą, że posiadli tajemnice niezbadanego, że mają zdolności obcowania ze światem niewidzialnych genjuszów, kierujących naszym losem... Są również tacy, którzy wprost dyktują nam przyszłe losy, rodząc się wprost tuzinami na szpaltach pism całego świata... Sprytni szarlatani, żerujący na naiwnej chęci poznania z drzewa wiadomości dobrego i złego... Profesjonaliści oszustwa... Istnieją jednak ludzie, nie mający nic z tamtymi wspólnego, ludzie głębokiej wiedzy i ogromnej wiary, potężnej skromności i bezprzykładnej ofiary... Tych można wyliczyć na palcach i nie wielu na przestrzeni wieków... Ludzi, posiadających szósty zmysł, wzrok, mogący odcyfrować analizę widmową ducha...

Do tych należy Rafał Scherman.

Mieliśmy zaszczyt gościć, parę tygodni temu, w naszej stolicy, tego słynnego na cały świat, wiedeńskiego psycho-grafologa. Zawitał on do nas na krótko, lecz jakżeż wiele potrafił w tym czasie dać ludziom ze siebie. Zawsze chętny, niezmordowany w niesieniu pomocy ludziom, łaknącym dobrej rady, czy też pociechy, niezmordowany w swej pracy, trafny i pewny djagnosta, zdolny chirurg psychiki ludzkiej, usuwający jednym, mistrzowskim lancetem swego słowa gangrenę duszy. Czasami znów, niby dobry i mądry ojciec, udzielający tylko porady i wskazówki, wskazujący właściwą drogę życia lub prostujący mimowolne błędy.

Nic dziwnego, że i ja również udałem się do niego, by poznać tego niezwykłego człowieka i podzielić się memi wrażeniami z czytelnikami „7 Dni".

W małym gabineciku hotelu „Bristol", gdzie się zatrzymał Scherman, spotyka mnie sympatyczny młody człowiek, osobisty sekretarz wielkiego lekarza.

— Jestem redaktorem „7 Dni" i chciałbym uzyskać z panem Schermanem wywiad dla mojego pisma.

— Będzie to bardzo trudne, gdyż pan Scherman jest zbyt zajęty swą pracą, by mógł panu udzielić chwili czasu... Ale może pan chwilę spocznie... Zaraz się przekonamy — odpowiada grzecznie sekretarz, wskazując mi uprzejmym ruchem ręki krzesło.

Siadam i rozglądam się dookoła. Zwykły pokój hotelowy, tem się może różniący od innych, że posiada niewspółmiernie dużo krzeseł. Krzesła nie stoją próżne. Siedzi na nich kilka osób, obojga płci. Z ubrania sądząc, ludzie, należący do różnych klas społecznych: wytworne karakuły eleganckiej damy dotykają się do kołnierza z zająca skromnej dziewczyny, lakierki wytwornego pana patrzą lśniącą powierzchnią na podarte zelówki swego sąsiada. Tylko jedna rzecz wiąże wszystkich obecnych: naprężony, oczekujący wyraz twarzy, na to, co za chwilę ma się stać. Czuję się dziwnie. Mam wrażenie, że i ja powoli stapiam się w jedną wspólną myśl myśl, krążącą po pokoju: *Chcę wiedzieć, chcę poznać...*

— Może pan pozwoli — budzi mnie z zamyślenia głos sekretarza — pan Scherman prosi.

Za chwilę staję przed obliczem Schermana. Spotykają mnie głębokie, mądre oczy, które zdają się przenikać mnie na przestrzał. Zdaje mi się, że w jednej chwili zostaję odarty ze wszystkiego i stoję, niczem winowajca, przed sądem.

— Dzień dobry panu. Słyszałem, że chce pan ze mną zrobić wywiad — przerywa Scherman ciszę. — Zasadniczo wywiadów nie udzielam i również w tym wypadku nie odstąpię od swej zasady. Natomiast bardzo byłbym rad, żeby pan zechciał być świadkiem mych eksperymentów. Może się to panu na co przyda.

Powoli przychodzę do siebie. Obowiązek dziennikarski przedewszystkiem. Dziękuję jaknauprzejmiej Schermanowi za zaszczyt, jaki mnie spotyka, i wciskam się w róg fotela, starając się być jaknajmniej widocznym. Wytężam zato wzrok i słuch, by nic nie uszło mej uwagi.

Po chwili wchodzi jakiś pan, prowadząc za rękę małą, może czteroletnią, dziewczynkę.

— Czem mogę panu służyć? — pyta się dobrotliwie Scherman.

— Pragnąłbym się dowiedzieć, jak mam pokierować losami mojej córki? Co ją może w życiu spotkać?... — odpowiada przybyły.

Scherman przyciąga łagodnie do siebie zalęknione dziecko, gładzi je po głowie, uśmiecha się, poczem podsuwa kawałek papieru i pióro.

— Narysuj mi coś na tym papierze.

Dziewczynka bierze w rączkę pióro i zaczyna stawiać jakieś zygzaki. Scherman przygląda się temu uważnie. Zmarszczone czoło wskazuje na to, że pod czaszką tego człowieka pracuje myśl z wytężeniem. Następuje chwila ciszy. Zda się, że byłoby słychać przelatującą muchę. Ojciec dziewczynki wpatruje się z niepokojem w Shermana. Ja, chociaż jestem tylko widzem, mam wrażenie, że mózg mój przeżywa jakąć gigantyczną pracę... Uczuwam na skroniach kropelki potu...

— Pańska córeczka nosi w sobie zarodek skłonności do tańca i sceny — odzywa się Scherman — jednak radzę panu nie dopuścić do tego, by została aktorką. Czeka ją na tej drodze nieszczęście. Czy przypadkiem nie weszła dzisiaj rano do pańskiej sypialni krokiem, jakgdyby tanecznym, wymachując rączkami?

Patrzę teraz na ojca dziewczynki. Twarz jego mieni się wszystkiemi odcieniami, od krwisto-purpurowej, do kredowo-białej. Nie może wymówić słowa. Kiwa tylko kilkakrotnie nerwowo głową. Znać, że djagnoza jest trafna. Milcząc wstaje i podaje Schermanowi rękę.

— Niech pan stara się jaknajdłużej trzymać ją zdaleka od teatrów i kin. Bywanie w nich, przed 18 rokiem życia, może rozwinąć w niej nieprzepartą chęć do desek scenicznych. Ostrzegam pana, w jego i jej interesie — kończy Scherman swą receptę.

Pismo 4-letniej dziewczynki (wypadek 1, opisany w wywiadzie).

Wohlgeb. Fräulein

Wenn man sich anrühren will

Urywek z listu poety bułgarskiego, Bałabanowa.

— Cudowne! — okrzyk ten wyrywa mi się mimowoli.

— Nic w tem niema cudownego — odpowiada Scherman. — Ręka jest uduchowioną częścią ciała ludzkiego. Ona to, pospołu z mózgiem, tworzy. Każda myśl ludzka przedzierzga się w czyn przy pomocy ręki, czyn mniej lub więcej doskonały, zależnie od składu chemicznego i psychiki ludzkiej. Mózg, ten tygiel, w którym przetapia się myśl, możemy przyrównać do objektywu aparatu fotograficznego, wycelowanego w duszę, zaś ręka będzie niejako bardzo czułą kliszą, notującą niedostrzegalne dla zmysłów cienie i półtony. Psyche ludzka jest niczem ogród warzywny, w którym zasadzono szczepionki przyszłych jej losów. Rozwój ich

- er hat sich eine Stunde vor der Prüfung aufgehängt.

List matki, zawiadamiającej o śmierci syna.

zdradza nam dłoń, kreśląca nieraz w niewinnych słowach, wyrok na swego właściciela. Chcę panu opowiedzieć dwa podobne wypadki, które mi się zdarzyły w Wiedniu, a dzięki którym przewidziałem rzeczy przyszłe. Zgłosiła się do mnie pewna matka, posiadająca dorastającego syna i, przyniósłszy próbę jego pisma, chciała koniecznie dowiedzieć się o jego przyszłych losach. Powiedziałem jej przedewszystkiem, iż, jeśli pragnie jego szczęścia, powinna natychmiast zabrać syna ze szkoły, w przeciwnym razie może go spotkać katastrofa. Nie usłuchała mnie jednak. W jakiś czas potem dowiedziałem się, że młodzieniec powiesił się na godzinę przed egzaminem maturalnym, którego, jak to widziałem z pisma, śmiertelnie się obawiał. Innym znów razem zjawił się u mnie pewien student i, pokazując mi list od swego przyjaciela, poety bułgarskiego Bałabanowa, spytał się, co mogę o tym ostatnim powiedzieć. Oświadczyłem między innemi, iż Bałabanow jest kulawy. Student uśmiechnął się sceptycznie, gdyż, jak utrzymywał, przyjaciel jego nigdy w życiu nie kulał. W tydzień potem jednak, przyszedł powtórnie do mnie, przepraszając za swe poprzednie zachowanie się: oto bowiem dowiedział się, że w tym czasie, kiedy był u mnie po raz pierwszy, Bałabanow uległ wypadkowi złamania nogi, o czem nie wiedział. Analogicznych przykładów mógłbym panu wymienić bardzo wiele. Nie chodzi mi jednak o przekonaniu pana o trafności mej djagnozy, jedynie chcę potwierdzić moje poprzednie oświadczenie, że ręka ludzka jest naszym świadomym zdrajcą.

Wyszedłem od Shermana, jak we śnie.

Kładąc na głowę kapelusz, z trwogą i podejrzliwością patrzyłem na mą prawą rękę.

grz.

Przed paroma dniami odbył się, staraniem znanego ze swej ruchliwości, Touring Clubu, olbrzymi raid do Spały. Liczny udział automobilistów i motocyklistów świadczy o coraz większem zainteresowaniu do imprez sportowych. W chwili, gdy numer nasz oddajemy do druku, rezultaty klasyfikacji nie są jeszcze znane.







Śmiechy i uśmiechy



Śmiech doboduszny „do rozpuku".



Zwierzęta śmieją się również.



Śmiech człowieka natury.

Zdolność do śmiechu wyróżnia człowieka z pośród świata zwierzęcego. Bowiem chociaż niektóre zwierzęta, jak szympans, pies, koń — mogą się śmiać również, jednak śmiech ich nie ma tej pełni wyrazu, co śmiech człowieka. Prawdopodobnie dlatego, że znaczenie biologiczne śmiechu dla człowieka również jest bardzo doniosłe.

Jakież są charakterystyczne objawy śmiechu? Są one bardzo różnorodne— bo śmiech jest żywiołową reakcją całego organizmu. Różnorodność tych objawów występuje stopniowo w miarę rozwoju. Znany fizjolog Preyer, obserwował objawy śmiechu u niemowląt już po 3 tygodniach. Dopiero jednak u pół rocznego dziecka śmiech staje się głośny.

Ujawnia się śmiech głównie w charakterystycznej mimice twarzy oraz zmianach oddechu. Zmiany oddechu — to szereg krótkich, urywanych, spazmatycznych wydechów oraz towarzyszących im dźwięków strun głosowych, poczem następuje ciągły, głęboki, przyśpieszony wdech. Wydechy często bywają tak silne, że cały brzuch drga dość gwałtownie. Mówimy wtedy, że „trzymamy się za brzuch", „pękamy ze śmiechu". Szczególnie wyraźnie występują te objawy u grubasów. Specyficzny wyraz nabiera również mimika twarzy; usta ściągają się wszerz i ku górze, przez co powstają z obu stron ust znane nam dobrze fałdy.. Ściągnięcie górnej wargi powoduje odsłonięcie górnych zębów. Ten wyraz ust, ułożonych do śmiechu, można osiągnąć na stałe dzięki odpowiedniemu zabiegowi operacyjnemu. Wiemy, że motyw ten wyzyskał znakomicie Wiktor Hugo w „Człowieku śmiechu", którego bohater dzięki odpowiednio spreparowanym mięśniom twarzy miał wyraz stale śmiejącego się. Jeśli oddech nie ulega znaczniejszym zmianom, a w śmiechu bierze udział tylko twarz, wtedy mamy uśmiech. Uśmiech odpowiada mniej żywemu pobudzeniu i może być mniej lub więcej wyraźny. Rozróżniamy tutaj różne stopniowania; począwszy od lekkiego, ledwie dostrzegalnego ściągnięcia kątów ust, bądź nieznacznej fałdy, jak to widzimy u Monny Lizy — Leonardo da Vinci, aż do silnego ściągnięcia ust, które mało się różni od śmiechu.

Podczas śmiechu przymykają się również nieco oczy, zaś w kątach ich zewnętrznych tworzą się zmarszczki (zajęcze łapki). Wzrok skierowany jest wprost na to, co jest przyczyną śmiechu. Jeśli kto śmiejąc się patrzy w bok, sprawia wrażenie, jakby miał niezbyt uczciwe zamiary (przebiegłość, chytrość). Rozumie się, że uwaga ta nie dotyczy pań, albo tylko w bardzo nieznacznym stopniu; czynią to bowiem przeważnie z kokieterji. Tyle o objawach śmiechu.



Pobudzanie do śmiechu przez kontrast. Polski król śmiechu, Antoni Fertner, w jednej ze swych popisowych ról.

Rozróżniamy różne rodzaje śmiechu: przyjazny, wrogi, dobroduszny, ironiczny i t. d.

Ogólnie jednak możemy powiedzieć, że wywołują śmiech nagłe, przyjazne bądź komiczne bodźce. Poglądy na istotę komizmu są bardzo różne i istnieją liczne teorje, które interpretują źródło komizmu. Oto kilka przykładów:

Hobbes — uważał, że przyczyną śmieszności jest nasza przewrotność i dążenie do odczucia własnej wyższości, przewagi nad innymi.

Kant upatruje istotę komizmu w nagłem przejściu od wielkiego napięcia do niczego, poprostu nic się nie dzieje. Ilustracją tej tezy jest łacińskie przysłowie: parturiunt montes, nascitur ridiculus mus (pękają góry, rodzi się śmieszna mysz).

Lipps widzi istotę śmieszności w tem, że coś o pozorach wielkości, doniosłości okazuje się nagle niczem. Ilustracją tego może być taki fakt, który się zdarzał w szkołach wojskowych, gdy kilku żołnierzy wynosi na pledzie zapałkę, rzuconą na sali.

Hartmann upatruje w komizmie coś nierozsądnego, nielogicznego, co ma pozór logiczności przez krótki czas, póki się nie ustali sprzeczność—wtedy następuje wesoły wybuch. Byleby tylko szkoda, wyrządzona przy tem, była niewielka, bo wtedy wzbudzi litość.

Jak widzimy, śmiać się jest znacznie łatwiej, niż dać jak najszersze objaśnienie przyczyn śmieszności. Każda z wymienionych teoryj daje objaśnienie pewnych cech komizmu, ale żadna nie objaśnia wszystkich.

Śmiejemy się z kogoś, z czegoś lub do kogoś? Śmiech jest przytem bardzo absorbujący, taki, iż nie podobna jednocześnie śmiać się i wykonywać jakąś poważną pracę, wymagającą skupienia uwagi. Szereg ludzi nie może śledzić toku poważnego rozumowania, ujętego w sposób zabawny.

Fizjologiczne znaczenie śmiechu nie zostało dotychczas również wyjaśnione, niewątpliwie jest ono bardzo dodatnie. Przemawia zatem dostatecznie żywiołowa reakcja organizmu. Niema przytem nic tak łatwo pobudzającego nas do naśladownictwa — jak widok roześmianej twarzy bądź słyszane wybuchy śmiechu.

Dr. H. T.

Ziemia Szczęśliwa

Na wyspie Man, leżącej na morzu Irlandzkiem między Wielką Brytanją a Irlandją, zapanowało w listopadzie zeszłego roku wielkie przerażenie. W samotnej chacie, na zboczach gór Snaefell, które przecinają wyspę, znaleziono zwłoki człowieka zamordowanego. Dla olbrzymiej większości kraju na tym najlepszym ze światów wypadek taki, to notatka w kronice, nie wzruszająca nikogo, oprócz bezpośrednich przyjaciół ofiary. Ale na wyspie Man wydarzenie to wstrząsnęło opinją. Był to bowiem pierwszy na wyspie Man wypadek mordu od lat 14.

Morderca został wkrótce ujęty i przerażenie ustąpiło miejsca przygnębieniu. Był on bowiem tubylcem, rdzennym Manjaninem, a wypadek, aby Manjanin zabił człowieka, nie zdarzył się na tej szczęśliwej wyspie od lat 40. Mord w 1916 roku popełniony został przez jakiegoś angielskiego marynarza „z kontynentu", t. j. z Wielkiej Brytanji, gdyż W. Brytanja jest „kontynentem" dla wyspy Man. Zresztą ów rdzenny manjanski morderca z przed 40 lat był warjatem.

Przygnębienie zmniejszyło się dopiero, gdy się okazało, że morderca ze zboczy Snaefell. — niejaki Tom Kissack, zbiegł dwa dni przedtem z domu obłąkanych. Dnia 29 listopada sąd w Douglas (stolica wyspy), rozstrzygnął sprawę ostatecznie, uznając Kissacka za niepoczytalnego i nakazując odstawić go z powrotem do domu warjatów.

Ta szczęśliwa wyspa, gdzie tylko warjat bywa mordercą, nie jest jednakże ani maleńką wysepką, ani zapomnianym przez Boga zakątkiem, niedotkniętym nowoczesną cywilizacją wraz z jej przykremi następstwami. Ma ona 588 kilometrów kwadratowych powierzchni i kilkadziesiąt tysięcy ludności rasowo celtyckiej, mówiącej własnym językiem, podobnym do irlandzkiego (wymierającego). Na wyspie bez morderców są spore i żywo eksploatowane kopalnie ołowiu, srebra, cynku i miedzi, przecinają ją, mimo małego obszaru, dwie linje kolejowe; stosunki handlowe z portami angielskiemi, a zwłaszcza z Liverpoolem, największem po Londynie miastem Anglji, są nader ożywione. Specjalna flota handlowa państwa Man (gdyż wyspa bez morderców jest autonomicznym członkiem imperjum brytyjskiego i posiada własny rząd i parlament), utrzymuje komunikację ze światem. Kultura intelektualna jest tam dość wysoka. Hall Caine, pisarz o światowej sławie, jest manjaninem i przez szereg lat był posłem do parlamentu w Douglas.

I mimo tego wszystkiego ludzie tam się nie mordują. Widocznie cywilizacja sama w sobie niekoniecznie musi rodzić zbrodnie.

(es).

Dykteryjki handlowe

Mendelson biada, że ogłoszono mu upadłość.

— Co jest? — pociesza go przyjaciel. — Czy to takie straszne?...

— Ty mówisz, że nie straszne?... Ty nie wiesz, że nie mam co jeść, a moja żona, a dzieci?...

— Czemu odrazu nie powiesz? To ty jesteś zrujnowany, a bankrut to co innego...

*

— Jakto? — dziwi się paniusia na targu. —Jajka znów podrożały? Pomyśleć tylko, że przed wojną kosztowały po 2 grosze!...

— Cóż zrobić, moja pani? — odpowiada kupcowa. — Ale niestety, zapasy moje z przed wojny już są wyczerpane...

*

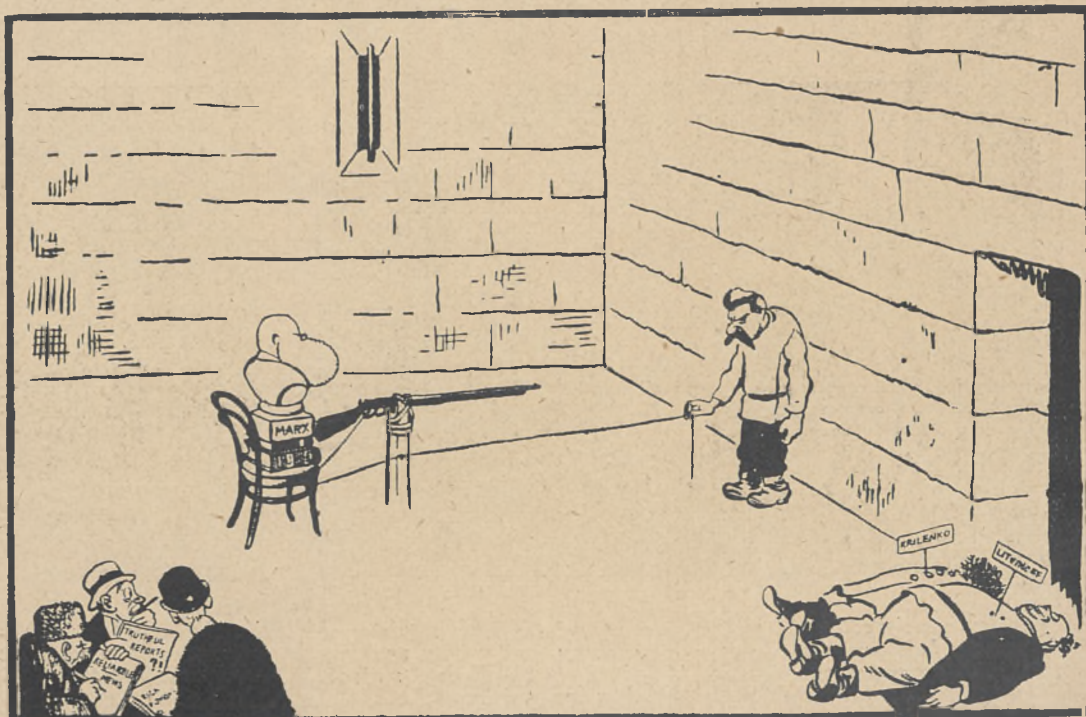
Spotykają się dwaj kupcy.

—No, jak tam interesy? — zapytuje jeden.

— Lepiej nie mówmy o tem...

— Co, gorzej niż zwykle?

— Daleko gorzej, bo nawet klijenci, którzy nie płacą, nie chcą już kupować...



Samobójstwo Stalina za paczenie ideologji Marxa. (Punch)

Co słychać na świecie







Znany w szerokich kołach handlu międzynarodowego, prezes amer. izby przedstawicieli, Mikołaj Longworth, zmarł w pełni sił życia — w wieku 68-letnim.



Syn pretendenta do tronu francuskiego, hrabia Paryża, zaślubił księżniczkę orleańską. Ceremonji asystowali przedstawiciele arystokracji z całego świata, pomiędzy innymi rodu hr. Zamoyskich.

Na miejsce sędziwego premjera japońskiego Hamaguczi, który musiał ustąpić z zajmowanego stanowiska z powodu przewlekłej choroby, mianowany został wybitny polityk, Wakatsuki.

Po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny światowej piłkarze niemieccy zmierzyli się z ekipą francuską. Sensacyjnej tej rozgrywce przyglądały się tysiączne tłumy, wśród których 10.000 widzów, przybyłych z różnych stron Niemiec. Francuzi zwyciężyli, osiągając 1:0.

Rewolucyjne nastroje, które dotychczas były przywilejem Hiszpanji, zaraziły również i Portugalję. Na całym półwyspie wre zacięta walka, chwieją się rządy, z dnia na dzień wydawane są coraz to inne decyzje — słowem, jak w kotle rewolucji, tem gorętszą wszakże ziejącym lawą, iż terenem akcji jest południe z przysłowiową jego zapalczywością. Poważnie liczą się z możliwością abdykacji króla Alfonsa.

Stosunki polsko-sowieckie naruszył nowy incydent, sprowokowany przez Moskwę. Chodziło tym razem o obraźliwy ton depeszy, poprzedzającej wyjazd delegacji przemysłowców polskich do Moskwy. Pomimo zaprzeczeń ze strony przedstawicielstwa Z. S. R. R. w Warszawie, „Krasnaja Gazieta" w dalszym ciągu sugeruje całej prasie sowieckiej niedorzeczną myśl o bankructwie systemu kapitalistycznego i o podjęciu starań przez światowe sfery gospodarcze w kierunku utrwalenia stosunków z Rosją, której naodwrót, znaczenie wzmaga się z każdym dniem. W związku z powyższemi nastrojami delegacja polska wstrzymała narazie swój wyjazd do Moskwy. Donoszą w ostatniej chwili, iż nadesłanie przez moskiewski komisarjat dla handlu oficjalnego komunikatu, wyjaśniającego incydent, wpłynęło na zmianę decyzji. Delegacja polska uda się do Moskwy w najbliższych dniach.

Przykre wrażenie, wywołane przez zaproszenie Brueninga i Curtiusa do Chequers, pogłębione zostało przez liczne komentarze prasy światowej, która surowo naogół potępia wystąpienie Hendersona.



Dokonano we Francji ciekawej próby — zastosowania opon gumowych do sprzętu kolejowego o napędzie benzynowym. Próby dały znakomity wynik, przyczem stwierdzono, że 300-konny silnik daje możność rozwinięcia szybkości 140 klm. na godzinę.



W związku z krwawemi zaburzeniami, wynikłemi przed paroma laty na Guyanie, jako odwet za tragiczny zgon bożyszcza ludności, Galmota — kilkunastu manifestantów sądzono niedawno we Francji. Wszystkich oskarżonych uniewinniono i pozwolono im wrócić do kraju.

JIM POKER.

Karambol

Wypadki potoczyły się w iście kinematograficznem tempie. O godzinie 23.17 przyszedł na stację w Wywierciu po torze parzystym towarowy 2158. A że był trochę spóźniony, więc dyżurny ruchu postanowił wstawić go na tor trzeci, aby tam cierpliwie wyczekał, aż przeleci biegnący za nim pośpieszny Nr. 9.

2158, posłuszny woli dyżurnego, opuścił tor parzysty, zastukał kołami o „dusze" angielskiej zwrotnicy, krzyżującej biegnący od Warszawy tor nieparzysty, poczem zajechał skromnie na tor trzeci, gdzie stanął z wielkim brzękiem sprzęgieł i buforów.

O g. 23.23 parowóz pociągu 2158 odjechał o kilkanaście metrów, by nabrać wody, a o g. 23.35 dojechał z powrotem do pociągu, nieco brutalnie. Nie wiadomo: czy spinacz podał zapóźno sygnał, czy też maszynista się zgapił. Dość, że bufory tendra uderzyły potężnie w bufory czołowego wagonu. Liczący 130 osi skład, zwarty niedawnem zahamowaniem, rozwarł się na skutek uderzenia. Wparte w siebie bufory, rozeszły się, jakgdyby z żalem, wiszące luźnie sprzęgła naprężyły, i, jak sztubacy na szkolnej ławie, jeden wagon drugiemu począł dawać sera.

Ser ten, wyrażający się centymetrami, przy pojedyńczym wagonie, wyniósł jednak w wagonie długiego węża kilkanaście metrów. Wystarczyło to zupełnie, aby końcowa węglarka zeszła z toru numer trzy, mięnła „strefę bezpieczeństwa" i częścią swego napchanego węglem kadłuba znalazła się na torze nieparzystym.

O godzinie 23.38 przyszedł od strony Warszawy osobowy Nr. 27. Sapiąc głośno, zatrzymał się przed peronem numer dwa, wyrzucił ze swego wnętrza dwóch kupców starozakonnych, nauczycielkę, trzy baby z koszami, chłopca gazeciarza i jednego pana w paryskiej jesionce, której mu zazdrościło całe Wywiercie. Wzamian przyjął innych dwóch kupców starozakonnych, chłopca w półkożuszku (choć to było lato) i jakąś zdenerwowaną paniusię. Poczem dyżurny ruchu, zerknąwszy na zegar, zawołał:

— Odjazd!

Nr. 27 ruszył szparko. Maszynista, widząc wyraźnie, że rubinowe ślepie wyjazdowego zmieniło się na żółto-białe, dodał pary. Do następnego przystanku było wszystkiego pięć kilometrów, a skład ciężki i należało szybko się rozpędzić.

I naraz, sto pięćdziesiąt metrów dalej, przed latarniami parowozu wykwitła, zamykając drogę, końcowa węglarka towarówki.

— — — — — — — — — — — — — —

Trrrach! Trrrach! Potężna maszyna, wściekła, napiera z całe siły na przeszkodę. Z węglarki robi się stos pogiętego żelastwa i drzewa na zapałki. Węgiel, śpiący spokojnie wewnątrz wagonu, sypie się teraz na wszystkie strony, zły, że go zbudzono.

Maszynista „dwudziestego siódmego" zwarł, oczywiście, hamulce. Ale sprężone powietrze nie zdążyło nawet dojść do bębnów i szczęk. Natomiast nieprzytomna ze złości, buchająca ogniem maszyna, aż podskoczyła do góry i przeszła na wylot węglarkę, usiłując biec dalej. Jednakże węglarka — czarny Kopciuszek— tym razem wzięła rewanż. Lokomotywa z powrotem już nie trafiła na szyny. Wykoleiwszy się jednym bokiem, stanęła na międzytorzu, wysuwając część swego czarnego, śliskiego cielska w gabaryt toru parzystego.

A wówczas po tym torze nadbiegł całym pędem pośpieszny Nr. 9. Miał wjazd i wyjazd otwarte, w Wywierciu nie stawał, więc też smarował siedemdziesiątkę. Nie było to wiele w porównaniu do szybkości pociągów angielskich czy francuskich. Ale wystarczyło zupełnie, aby ciągnący „dziewiątkę" potężny „ten wheel" prasnął w wykoszlawiony bok parowozu osobówki, odłupał zeń żelazną drzazgę wagi, wykręcił bokiem i stanął wpoprzek toru, się po osie nimal w szuter toru. Karambol!

Idący za porowozem wagon bagażowy z piekielnym trzaskiem wgniótł się w tender, straciwszy snać orjentację i pojęcie równowagi, wykręcił bokiem i stanął w poprzek toru. Trzeci zaś — piękny sleeping, ze złotemi napisami „Compagnie Internationale des Wagons Lits", skoczył w górę, jak szalony, oparł się środkiem kadłuba o dach pocztowego, a kołami przedniego wózka zawisł w powietrzu, niczem potworny mastodont w nieskromnej rui. W sleepingu tym jechała pani Lulu.

*

Pani Lulu (w metryce Leokadja) na dziesięć minut przed karambolem postanowiła właśnie położyć się spać. Zdjęła śliczny podróżny kostjum tweedowy, model, o którym mąż twierdził, że droższego już w całej Warszawie nie było, i pozostała w ślicznej, zgrabnej kombinezonce koloru „saumon". Ułożyła się wygodnie i przeciągnęła rozkosznie raz i drugi, uśmiechając się do swoich myśli. A miała czego. Albowiem nazajutrz, na dworcu, w Warszawie, miał ją oczekiwać, oczywiście nie mąż, ale pan Karol, właściciel pięknego „Packarda" (złośliwi twierdzą, że niezapłaconego), pary wspaniałych bicepsów, garsoniery na Bagateli i jeszcze innych zalet, o których....

A więc pani Lu miała powód do tego, aby być zadowoloną. Ot, tak malutka „Schadenfreude". No i pieprzyk awanturki z odrobinką ryzyka, a to jest przecież strasznie „exciting". Któraż kobieta — broniąca się jak Joanna d'Arc od pokusy — nie ulegnie w końcu „niesamowitej sytuacji".

Sytuacja zaś była naprawdę arcyzabawna. Bowiem radca Kajetan Rogaczewski, mąż pani Lulu, był zawiadomiony, że jego lepsza połowa przyjeżdża dopiero za trzy dni. Te zaś trzy dni miały być poświęcone zwiedzaniu garsonjery na Bagateli (któż to napisał podróż naokoło pokoju?), oglądaniu wiszącego tam prawdziwego Rembrandta (wypożyczony z antykwarjatu), oraz kolekcji prawdziwych chińskich pyjam (made in Białystok).

Na myśl o garsonjerze, jej właścicielu i tych trzech dobach, rozkoszny dreszczyk przebiegł po plecach pani Lulu. Tak. Całe trzy doby. Coś takiego już słyszała... było w historji. Pewnie Nelson i Lady... jakże tam — Hampton, Hamilton... Albo Napoleon i pani Waleska... Nie. To nie tak... Waleska podobno nie miała temperamentu, a paniu Lu... Ho, ho!... Szczęśliwy ten, który będzie mógł się na nieprzebranych akordach temperamentu tego poznać.... Więc któż to był? Aha! Paulina Borghese i generał Macdonald w willi, gdzieś we Włoszech. Podobno generał nawet jakąś bitwę z tego powodu przegapił.

Rruum! Trrach!

Trask okropny. Przedział pani Lu zwiera się nagle, jak pudełko zapałek, zgniecione ręką dziecka. Światło gaśnie. Ona sama czuje przez chwilę, że jakaś nieprzeparta siła unosi ją gdzieś w górę, wysoko, wysoko. W uszach zgrzyt straszliwy, łomot. W głowie szum. A potem głucha próżnia i z owej góry upadek, gdzieś daleko, głęboko, w nieznane...

Przez rozwarty dach wagonu brudna, lepka ciecz — pewnie zmieszana z wodą i smarem smoła, kapie prosto na śliczną kombinezonkę „saumon fumé".

*

Pan Zenon (lat 22), młody telegrafista na stacji w Wywierciu, czytał w przerwach między nadawaniem depesz piękny romans kinowy, pod tytułem: „Nagrodzona cnota". Doczytał właśnie do miejsca, kiedy bohater, skromny policjant, uratowawszy z wody bohaterkę, otrzymuje w nagrodę jej rękę — kiedy za oknem kancelarji rozległ się ów trzask piekielny, huk, jazgot. W chwilę później buchnęły krzyki ludzkie i płomienie.

Nie namyślając się wiele, Zenon wybiegł na peron i ujrzał żelazny karambol. Z obu pociągów — pośpiesznego i osobowego — biegli w popłochu pasażerowie, niektórzy w negliżu. Dwa wagony płonęły. Od rumowiska słychać było poprzez chrobotanie ognia, krzyki i nawoływania.

Kilkunastu przytomniejszych podróżnych, kolejarze i policjanci, pracowali już nad ratunkiem. Zenon przyłączył się do nich. Schwyciwszy za antabę, wspiął się do płonącego sleepingu. Drzwi zacięły się, więc wgramolił się na dach. Wiatr pędził ogień w przeciwnym kierunku. Telegrafista spostrzegł wyrwę w dachu i bez namysłu skoczył w głąb. Za chwilę w blaskach pożaru dojrzał kombinezonkę łososiowego koloru i kapiące na nią duże sople sadzy.

W pięć minut później pani Lulu leżała we własnym pokoiku telegrafisty, na strychu budynku stacyjnego. Nad nią stał Zenon, przestępując z nogi na nogę. Albowiem, jeśli kiedy uderzenie miłosnego pioruna oszołomiło człowieka, to stało się to właśnie wówczas.

— — — — — — — — — — — — — —

Pani Lu leżała na jego kawalerskiem łóżeczku, w poplamionej krwią i sadzą kombinezonce, ale i w całej krasie swojej urody. Uroda zaś trzydziestoletniej kobiety ma to do siebie, że działa lepiej od wszelkich afrodyzjaków. Nic więc dziwnego, że Zenon, który jeszcze nigdy w życiu nie widział podobnego negliżu, otulającego tak powabne kształty, Zenon, którego repertuar kobiet „en fait" ograniczał się do dwóch, trzech znajomości w rodzimem Wywierciu, — zapomniał nawet pójść po doktora i usiłował własnym przemysłem ratować zemdloną Lulu.

Na szczęście omdlenie przeszło i „rozbitek" zażądał... pledu do przykrycia... Zenon oprzytomniał. W krótkich słowach uspokoił Lu i pobiegł po lekarza. Okazało się, że prócz drobnych zadrapań i sparzonego paluszka, innej szkody nie było.

— Może pan zechce wysłać mi depeszę, bo będą o mnie niespokojni. Mój mąż...

Zenonowi zabiło serce, ale skwapliwie podał papier i ołówek.

— Niech się pan nie dziwi, że piszę po francusku. Nie chcę wszystkich wystraszyć. Adresuję do brata, bo mąż mógłby to odchorować...

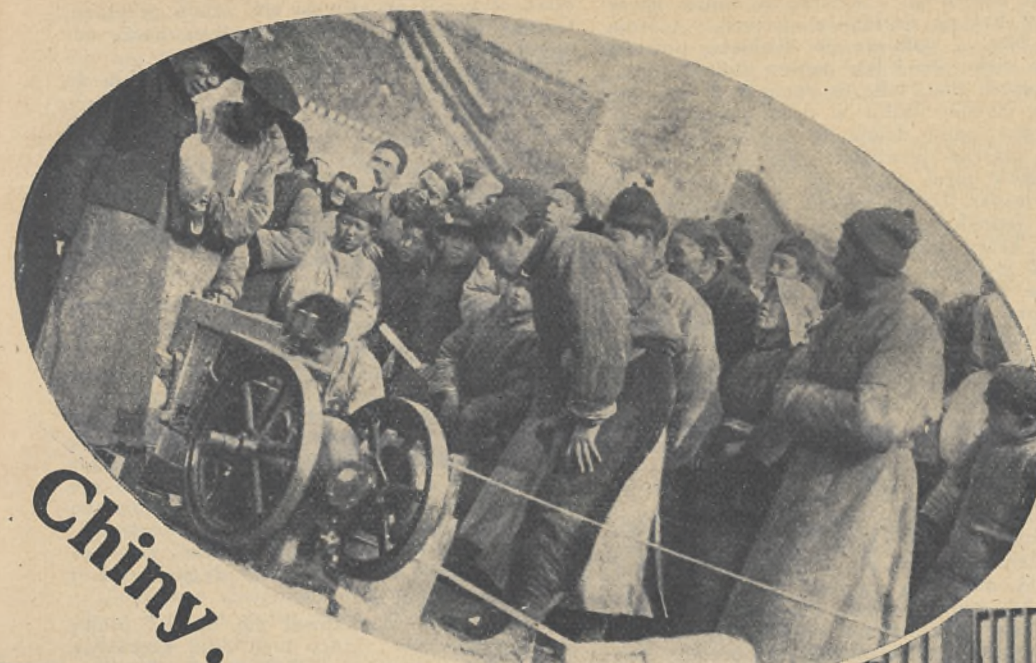
Zenona znów coś ścisnęło za serce. Ale przemógł się i pobiegł do swego aparatu, gdzie śpiesznie wystukał następujący telegram:

Dokończenie na str. 344.

Współczesne Chiny...

Zwalczanie przysłowiowego zaniedbania, z którego słynęły miasta chińskie, nie jest łatwem zadaniem. Surowe zarządzenia władz administracyjnych nie zawsze są przestrzegane przez ludność, przyzwyczajoną do niechlujstwa. Zamiatanie ulic poczytywane jest za zbytek nielada.





Ludność wiejską, którą w ciągu wieków rządy mandarynów cesarskich pozostawiły własnemu przemysłowi, Kuo Ming Tang zaopatruje w maszyny rolnicze. Liczni instruktorzy objazdowi czuwają nad usprawnieniem gospodarki rolnej. Nie mniej jednak wiele obszarów leży jeszcze ugorem i miljony ludzi narażone są na klęskę głodu.

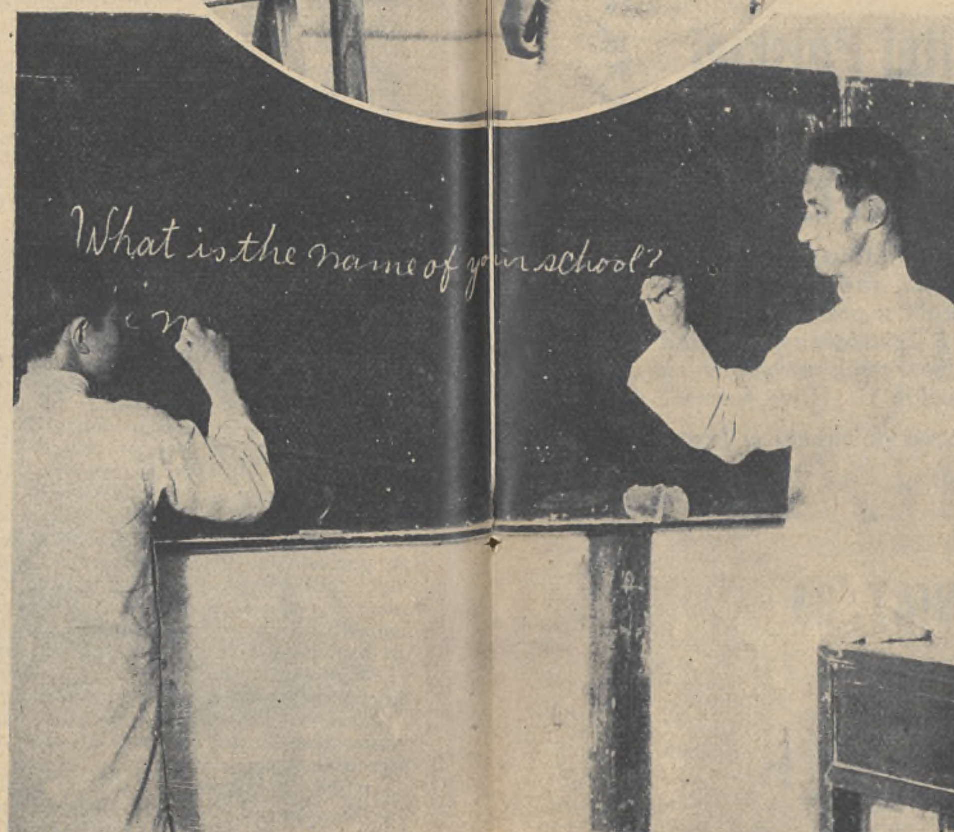
Rekordowa ilość analfabetów zmniejszy się zapewne dzięki przymusowi uczęszczania do szkół, od którego nie są zwolnieni nawet i dorośli.



Podobnie, jak w krajach europejskich, założono w większych miastach chińskich ochronki, do których przedewszystkiem przyjmowane są dzieci robotnic, zatrudnionych w zakładach przemysłowych.







Sceny z chińskiej szkoły dla głuchoniemych.

Kraj, naród, stronnictwo, Kuo Ming Tang — oto w trzech słowach formułka, streszczająca założenia ideowe nacjonalistów chińskich, którzy, jak to często bywa w dziejach ludzkości, pierwsze swe kroki rozpoczęli od rozpętania w kraju socjalnej rewolucji, skierowanej przeciw konserwatywnemu ustrojowi monarchistycznemu.

Przebieg tej walki, nie mniej ciekawy od rewolucji rosyjskiej, jest naogół mało znany, gdyż pomimo woli zatraca się wątek rzeczy w labiryncie zmagań lokalnych, na których czele stoją przywódcy o dziwnych, a tak podobnych do siebie nazwiskach, jak Sun Yat Sen, Li Czing Sen, Yen Hsi Szan, Fong Yu Liang i t. d. i t. d.

Pierwsze z tych nazwisk jest najbardziej znane; Sun Yat Sen jest ojcem ruchu rewolucyjnego i założycielem stronnictwa Kuo Ming Tang, twórcą współczesnych Chin. Człowiek ten, o nieskruszonej energji, powziął myśl obalenia mandżurskiej dynastji cesarskiej w r. 1906.

— Uzurpatorzy! — wołał na zebraniach, odbywanych w Kantonie, będącem centrum, gdzie wszystkie chińskie rewolucje brały początek — zdrajcy ojczyzny! Ludzie bez czci i wiary, którzy poddali losy kraju woli obcych mocarstw, i przyszłość zamknęli upokarzającemi traktatami! Sprzedawczycy!...

Walka była niezmiernie trudna do prowadzenia, jako że osławiona cesarzowa-wdowa, Tse-hi, nie przebierała w środkach, aby nie dopuścić do powstania powszechnej rewolucji.

Tropieni w swych „jaczejkach", przywódcy buntu traceni byli bezlitośnie przez katów cesarskich, lecz im więcej padało głów, tem silniej krzepła idea wyzwolenia kraju od rządów znienawidzonej dynastji.

Bunt przybierał coraz jaskrawsze formy. Krew poczęła płynąć szerokim strumieniem — aż wreszcie, po szeregu walk, stoczonych nad Yang Tse, ogłoszono w r. 1911 republikę, a przyciśnięta do muru cesarzowa długo już nie opierała się i podpisała słynny reskrypt, uznający Kuo Ming Tang jako stronnictwo legalne, „powołane do tworzenia zastępów ludzi, zaprawionych do służby publicznej".

Reskrypt ten był początkiem końca — zwiastunem bliskiej abdykacji, której ogłoszenie nastąpiło w parę miesięcy później — w lutym 1912 r.

Zwolennicy Sung Yat Sena odetchnęli pełną piersią, gdyż pierwszy i najważniejszy z celów, wytkniętych w słynnej księdze przykazań rewolucji — „San Min Czui" — został osiągnięty. Zasada ta, ujęta w rozdziale p. t. „Ming Kuan", — zwrócona była — co nie jest bez znaczenia dla dalszych losów ruchu — nietylko przeciw uzurpatorom mandżurskim, ale przeciw wszelkim cudzoziemcom, usiłującym skrępować ojczyznę.

Następny rozdział tej księgi nosi tytuł „Ming Sang" i zawiera uzasadnienie idei republikańskiej, trzeci rozdział wreszcie — „Ming Cze" — precyzuje cele stronnictwa, nadając mu kierunek socjalistyczny.

O ile jednak dość szybko stosunkowo doprowadzono do obalenia cesarstwa — utrwalenie rządów demokratycznych nastręczyło poważne trudności. Najważniejszem było to, iż chińczycy, podobnie jak naród rosyjski, nie byli przygotowani do rządów konstytucyjnych i łatwo poddali się woli różnych ludzi, żądnych władzy.

Walka wewnętrzna rozgorzała w kilku punktach kraju. I znów krew się polała, głód i mór dziesiątkowały ludność, losy kraju utknęły na martwym punkcie.

W łonie Kuo Ming Tangu powstały tarcia, osłabiające wszelkie poczynania.

Wypadki ostatnich lat, których nici znalazły się w Moskwie, przypominają losy państewek włoskich w okresie średniowiecza.

W obecnej chwili nastąpiła przerwa w tych walkach. Czy na długo — trudno powiedzieć, aczkolwiek pewne ugrupowania wewnętrzne pozwalają przypuszczać, iż obecni sternicy nawy państwowej, zdołają utrzymać władzę przynajmniej do chwili przeprowadzenia reformy finansowej i otrzymania zasiłków pieniężnych z zagranicy.

W najbliższych tygodniach odbędzie się kongres Kuo Ming Tangu, na którym zostaną rozpatrzone najistotniejsze sprawy państwowe.

Jedną z nich jest zredukowanie olbrzymiej armji — miljonowego zastępu ludzi uzbrojonych, mogących w każdej chwili rozpętać na nowo krwawą walkę bratobójczą.

Sprawa ta nie da się rozstrzygnąć odrazu, gdyż zdemobilizowani żołnierze muszą być jednocześnie zaopatrzeni w należyty sposób, aby, powróciwszy do swych domów, mogli przystąpić do pracy twórczej, odbudowując zrujnowane lub zaniedbane gospodarstwo. Pozostawienie ludzi, zaprawionych do walki orężnej, własnemu losowi, może grozić poważnemi zaburzeniami.

Lecz nie jest to wszystko. Sprawa stabilizacji waluty, będąca, na szczęście, troską człowieka niezwykle zdolnego — T. V. Soonga, dzierżącego w swem ręku zarząd skarbem państwa — niejednokrotnie już dała się we znaki. Pożyczka zagraniczna jest nieoodzowna. Wiedzą o tem nietylko chińczycy, ale i obce mocarstwa, które wkrótce zaczną przelicytowywać się w tym kierunku, jako że sprawa ta ściśle jest związana z otwarciem rynków zbytu na Wschodzie.

W przewidywaniu tej szczęśliwej okoliczności, państwa europejskie szykują się do czynu. I my również nie pozostajemy w tyle za innemi, gdyż oto, dzięki zabiegom dość licznej kolonji polskiej w Charbinie, rozwój stosunków gospodarczych z Chinami przybiera coraz konkretniejsze formy. Towary polskie znane są i cenione na Dalekim Wschodzie z czasów przedwojennych. Celem zapoznania klijenteli chińskiej z ostatniemi postępami naszego przemysłu organizuje się wystawa polskich prób i wzorów, której otwarcie nastąpi w najbliższych tygodniach.

Poczynania tych cennych pionierów naszej ekspansji na Wschodzie winny znaleźć należyte zrozumienie w kraju, zwłaszcza, że grunt ze strony formalnej został już przygotowany zawczasu, przez zawarcie w październiku r. ub. traktatu handlowego i nawigacyjnego pomiędzy rządem polskim a Chinami.

Los oddalonych Chin i utrwalenia w tym kraju ładu, jest sprawą, która nas obchodzi w szczególny sposób. Od otwarcia rynku zbytu na Wschodzie zależy w wielkiej mierze odprężenie gospodarcze, którego wszyscy gorąco pragniemy.

Karambol

Dokończenie ze str. 341.

„Karol Casanowa, Bagatela 45, Warszawa. Train deraillé blessée legèrement. Stop. Viens me voir gare Wywiercie chez telegraphiste Lulu".

*

Nazajutrz przed stacją w Wywierciu zatrzymał się wspaniały „Packard" koloru mlecznej kawy. Wyskoczył zeń równie wspaniały, ogorzały mężczyzna, w szerokich pumpach i nowiutkiem Burberry. Pewnym krokiem skierował się do telegrafu.

Zenon spał właśnie, oparłszy głowę o stół. Bowiem, odstąpiwszy swój pokoik Lu, jak przystało na rycerza, całą noc spędził w kancelarji. Zły, że mu przewano (śnił mu się właśnie ślub z Lulu, która, zamiast sukni ślubnej, miała kombinezonkę łososiową i wyglądała tak ponętnie, jak nigdy), spytał dość opryskliwie:

— Czego?

— Pani Rogaczewska?...

— Czy pan jest jej bratem?

— Nie, jej mężem, — brzmiała arogancka odpowiedź.

Zenon stropił się. Męża Lu wyobrażał sobie jako starego, zdziecinniałego dziada, wobec którego on, Zenon, miałby wszelkie szanse zwycięstwa. A teraz... jakże wygląda mizerny telegrafista przy tym stuprocentowym mężczyźnie w pumpach i z „Packardem" na zawołanie.

Serce chłopca znów ścisnęło się mocno, boleśnie. Nie mówiąc nic, powiódł pana w pumpach do siebie, na górę.

*

Tegoż dnia u radcy Rogaczewskiego był bridge, który, pod nieobecność małżonki, przeciągnął się do białego rana. W czasie kolacji pan Alojzy, który leżał bez trzech na kontrowane piki i był z tego powodu w złym humorze, zapytał gospodarza:

— Gdzie właściwie bawi twoja żona?

— W Zakopanem. Wróci za dwa dni.

— A ty nie boisz się, jej puszczać tak samej? Bo to wiadomo — kobieta — Zakopane...

— Ba, mój drogi — odciął się radca, który notabene był po sześciu większych. — Moja Lolka... Nie — widzicie go. Kobieta, powiem wam po cichu (tu kilku panów zbliżyło się i radca zniżył głos, tak, że zamiast w trzecim, było go słychać tylko w drugim pokoju) — moja Lolka, panie dzieju, to kobita jak drewno. Jak drewno, powiadam. Nic. Zupełnie nic. Widać woli bożej nie czuje. Niech sobie biedactwo jeździ. To jej jedyna przyjemność.

— A jednak... — zaczął niepoprawny pan Alojzy, który snać zawziął się na spokój i szczęście rodzinne gospodarza.

— Nie bajdurz, bracie! Chodź lepiej skończyć robra. Wystawiłem Lolkę w zeszłym roku na próbę. Prosiłem najserdeczniejszego przyjaciela — mecenasa Drabinkowskiego — wiecie, lowelas pierwszej wody — wdzięk nieodparty, a przytem chłop setny, rodzącą żonę zaufać mu można, taki lojalny. Kobiety przyjaciela nie ruszy, choćby miał cierpieć, jak ten Esterhazy od cesarzowej...

— Andrassy, chyba.

— Jedna węgierska familja. Nie przerywaj. Więc, powiadam ci, urządziłem wszystko tip-top. Mecenas wyrżnął się w żakiet, nawet mu za kwiaty musiałem zwrócić. I nic. Pas ça. Kobieta jak mur. Cnotliwa. No i bez temperamentu. Mężczyźni dla niej nie istnieją... Prócz mnie... poprawił się po chwili.

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz pan Alojzy wręczył radcy kurjerek z opisem katastrofy w Wywierciu. Między lekko rannymi figurowała pani Leokadja Rogaczewska.

— Jaka porządna kobita — chwycił się za głowę Kajetan.—Nietylko, że wracała do domu przed terminem (stęskniło się, widać, biedactwo), ale jeszcze nie chciała mnie niepokoić. Złoto, nie żona. Zaraz jadę do Wywiercia.

*

Opisać, co się działo w duszy biednego telegrafisty przez te dwa dni, potrafiłby jeden wielki Rostand. Cierpienia Cyrana de Bergerac i jego poświęcenie dla Roxany, były niczem w porównaniu ze szlachetną abnegacją Zenona. Cyrano poezją swą sprawił, że Christian otrzymał pocałunek, ale Zenon przeszedł Cyrana wielokrotnie. Kochającej się parze odstąpił swój własny pokój.

Drugiego dnia, pod wieczór, Lulu rzekła do Karola:

— Kochanie, wszystko się na świecie kończy. Musimy wracać.

— Mój „Packard" gotów, Lu. Chociaż możeby jeszcze... Tak tu dobrze...

— Poczciwy chłopak, ten telegrafista. Żeby nie on... przecież do hotelu w takim Wywierciu nie poszłabym za skarby.

— Więc jedziemy?

— Tak. Ale koleją. Samochód tu zostawisz. W samochodzie mógłby nas kto zobaczyć. Ty potem wrócisz po maszynę.

„Le couple adultère" odjechał „osiemnastym" o 19.15. Zenon za ostatnie pieniądze kupił kilka pąsowych róż. Otrzymał wzamian miły uśmiech i kilka słów podzięki, które były dlań rajską muzyką. Oszołomiony nią (biedaczka przecież więcej przy mężu powiedzieć nie mogła), zapomniał nawet, że nie zapłacono mu za depeszę i za kostjum z wywierciowskiego „Bon Marché", kupiony „na oko", boć podróżna toaleta Lulu poszła z dymem, jak i część jej bagaży.

„Osiemnasty" skrzyżował się opodal bloku 72 z „trzynastym", który tego dnia naprawdę był fatalny. Albowiem pędził nim do Wywiercia, z bijącem sercem, pan Kajetan.

— Gdzie tu jest pani Rogaczewska... ranna w katastrofie? — pyta tęgi, przysadzisty pan, w okularach, na progu kancelarji zawiadowcy.

Zenon, zaczytany, odrywa oczy od swego romansu kinematograficznego, poprzez który widzi już swój własny... z Lulu. Cóż to znowu? Aha... To pewnie ojciec.

— Pojechała o dziewiętnastej do Warszawy, proszę pana.

— Jakże? Ranna... bez opieki?...

— O, nie. Zaraz pierwszego dnia przyjechał do niej mąż. Mieszkali u mnie w pokoju.

Gruby pan jest snać bardzo tem wszystkiem wzruszony, bo sapie, jak „OK22" z przegrzewaczem. Wreszcie uspokaja się.

— I odjechali razem?

— Tak, proszę pana. Pan jest pewno ojcem...
— Hm... Tak. Nie zostało tu co?
— Bagaże wszystko państwo zabrali ze sobą. Ale pan Rogaczewski zostawił swój samochód. Wspaniałego „Packarda". Stoi obok, w remizie straży ogniowej. Może pan chce zobaczyć?...

*

Po tygodniu pan Zenon otrzymał list na wonnym welinie. Długo nie otwierał go, trzymając na sercu, pieszcząc wzrokiem. Wreszcie wieczorem, siedząc samotny w swej izdebce, zdobył się na odwagę. Przecież trzeba było przeczytać ten pierwszy list — serce mówiło mu, że miłosny — od kobiety, którą pokochał nad życie. Czyż taka miłość, jak jego, mogła pozostać bez wzajemności? Czy dla kobiety może istnieć ktoś inny, poza bohaterem, co ocalił jej życie, więcej... ocalił jej wdzięki? Bo gdyby Lulu wyciągnięto dziesięć minut później, kto wie, jak wyglądałyby jej alabastrowe ramiona i twarzyczka, przypominająca Korynnę Griffith.

— — — — — — — — — — — — — —

„Głupi smarkaczu, twoją bezgraniczną naiwnością skompromitowałeś uczciwą kobietę. Nienawidzę cię. Jeśli po to wyciągnęłeś mnie z płonącego sleepingu, aby potem unieszczęśliwić na całe życie, bądź przeklęty".

Podpisu nie było.

Po dwóch tygodniach przyszło wezwanie od adwokata — na świadka w procesie rozwodowym, procesie, dla pani Lulu wielce niemiłym, bo pan Karol, specjalista od żerowania na cudzem, czmychnął, nie myśląc wcale o poniesieniu konsekwencji karambolu. Ba — rodzona żona, to nie „Packard", który można utrzymywać na kredyt.

Zenon do adwokata nie pojechał, bo któregoś wieczora rzucił się pod tę samą „dziewiątkę". Wyciągnięty cudem, leżał trzy miesiące w szpitalu kolejowym. Gdy się wylizał, dostał translokację do innej dyrekcji, gorsze stanowisko i z rozpaczy ożenił się z zezowatą i biedną, choć poczciwą nauczycielką. Ma dziś z nią troje dzieci.

Proces, mimo to, się odbył. „Flagrant delit" nie ulegało wątpliwości. To też uzyskawszy rozwód, pan Kajetan zaprosił przyjaciela Alojzego na kieliszek „pocieszenia". Gdy przyszła chwila zwierzeń, Alojzy wyjechał z dawno ukrywaną sentencją:

— Uważaj, bracie... Nie należy nigdy wystawiać kobiety na próbę, bo to trud stracony i ryzyko wielkie. Jeśli będziesz miał dowód zdrady, **tu seras le premier attrapé,** — a jeśli przeciwnie, to wcale nie gwarancja, że jest ci wierną.

— Tylko co?

— Tylko dowód, że mężczyzna „od próby" nie podobał jej się ani trochę.

Wycieczka do Grecji

Staraniem Grecko-Polskiej Izby Handlowej w Atenach zorganizowana została wycieczka do Grecji na okres od 5 do 21 maja r. b. Uczestnicy wycieczki zwiedzą dokładnie Konstancę, Konstantynopol, Pireus, Ateny, Saloniki, Białogród i Budapeszt. Daleko idące zniżki kolejowe, okrętowe i hotelowe są nie mniej cenną atrakcją tej interesującej wycieczki, której koszty wyniosą od zł. 791 od osoby.

Zgłoszenia przyjmuje Międzynarodowe T-wo Wagonów Sypialnych „Wagons-Lits Cook" w Warszawie, Poznaniu, Katowicach, Krakowie, Lwowie, Łodzi, Gdyni, Wilnie, Krynicy i Zakopanem.

Liczba uczestników ograniczona jest do 20-u osób.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIELKI KONKURS ZADANIOWY „7 DNI"

Począwszy od 12-go N-ru rozpoczęliśmy wielki

wiosenny konkurs zadaniowy.

Konkurs obejmuje zadania, które zostaną umieszczone w n-rach od 12 do 18-go włącznie „7 Dni".

W każdym n-rze zamieszczamy kupon, oznaczony kolejnym n-rem. W terminie 10-dniowym po ukazaniu się ostatniego zadania konkursowego należy nadesłać wszystkie rozwiązania wraz z kuponami listem poleconym p. a. redakcji. W dniu, o którym nastąpi zawiadomienie, w lokalu wydawnictwa odbędzie się publiczne losowanie nagród.

Nagrody

Wśród Czytelników, którzy rozwiążą trafnie wszystkie zadania konkursowe, zostaną rozlosowane

cenne nagrody w liczbie sześciu.

Szczegółowy spis nagród zostanie ogłoszony w Nr. następnym. Oprócz tych nagród przewiduje się *szereg nagród dodatkowych, w postaci książek beletrystycznych, oraz nagrody pocieszenia.*

ZADANIE KONIKOWE
PIĄTE ZADANIE KONKURSOWE.

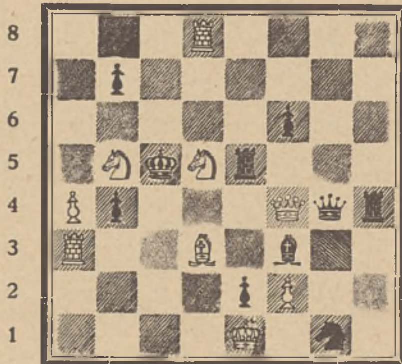
gó-	k -	od-	ne	mo-	do	skie-	ła-
mę-	mu-	kre	o-	go	ma-	na	szedł
tu	ry	za	dło	twi	z try-	w po-	z mor-
ry	tu	mar-	cher	ła	nie...	i	a
wzno-	jak	mał	ów	um-	mu-	mi	cy
Wstą-	Ci	Wi-	wpół	się	już	wył	ci
żoł-	szą-	żą	gen-	sztur-	fem	ją-	tra-
le-	pił	nierz	ce	na-	pię-	śmier-	za

Ruchem skoczka szachowego obejść szachownicę i odczytać zdanie, które jest rozwiązaniem powyższego zadania.

SZACHY

S. S. Lewmann

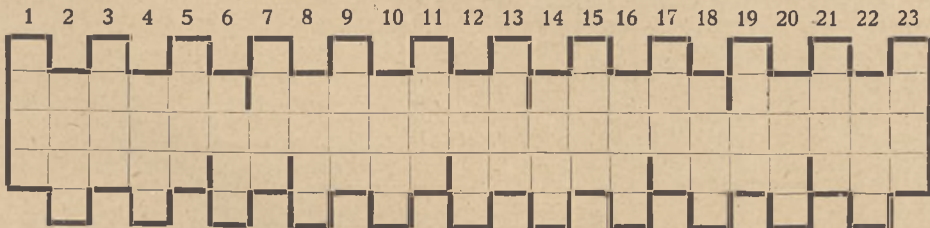
Rosja; Świat Szachowy, 1931.



Mat w 2 posunięciach.

LOGOGRYF KRZYŻÓWKOWY

ułożył porucznik Cezary Pobóg-Pągowski.



Wpisać słowa według podanych oznaczeń. Rząd „B" da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

Pionowe: 1) Rodzaj grzyba. 2) Przekaz na pieniądze. 3) Miasto w Egipcie. 4) Kwiaty. 5) Bez ubrania (inaczej). 6) Powieściopisarz polski. 7) Kłótnia. 8) Odmiana tlenu. 9) Kawior. 10) Miara papieru. 11) Sprzęt szkolny. 12) Hrabstwo angielskie. 13) Miasto na Kaukazie. 14) Ptak domowy. 15) Inaczej „odosobnione". 16) Zakres, okręg, okres. 17) Przyrząd sportowy. 18) Nieprawda. 19) Niedziałka. 20) Figura geometryczna. 21) Gryzoń (wspak). 22) Osada w pow. Tuhomskim (wspak). 23) Ordynans (wspak).

Poziome: A1) Naród zamieszkały w Europie (wspak). A7) Inaczej niezgrabny, łamaga. A14) Naczelnik Indjan w Połudn. Ameryce. A19) Opera Puciniego. C1) Ukradkiem spoglada. C6) Miasto w Chaldei. C8) Miejsca żyzne na pustyni. C12) Specjalność marynarza. C17) Dopływ Wołgi. C21) Siła.

Konkurs zadaniowy „7 Dni"

KUPON Nr. 5

J. S. FLETCHER.

8)

MORDERSTWO NA OGRODOWEJ

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

Do młodego adwokata, Shelmore'a, zamieszkałego w miasteczku Southemstowe, zgłasza się młoda panna, Cyntja Gretty, z tem, że opiekun jej, pan Deane, zniknął nagle z hotelu, w którym miał na nią oczekiwać. Adwokat i Cyntja udają się do hotelu, by zbadać sytuację na miejscu. Wzywają inspektora Mellaponta, który, po śledztwie wśród służby, powierza sprawę swemu najzdolniejszemu detektywowi, Johnowi Hackdale.

ROZDZIAŁ VII.

SZCZELINA W ŚCIANIE

Drukarnia Pembertona znajdowała się na bocznej uliczce, przylegającej do gmachu hotelu Chancellor. Gdy Simmons Hackdale zjawił się w małym kantorku drukarni, pan Pemberton stał za kontuarem, układając jakieś papiery. Prośby Simmonsa wysłuchał w milczeniu i po chwili potrząsnął przecząco głową.

— Dzisiaj nie może to być gotowe — oznajmił. — Dopiero jutro w południe plakaty te mogą się ukazać na mieście, panie Simmons. Ze względu na pana postaram się roboty tej nie odkładać.

— Doskonale — rzekł Simmons. — A kiedy dostanę korektę?

— Może pan wstąpi tutaj wracając do domu wieczorem — zaproponował Pemberton. — Przygotuję panu jedną odbitkę.

Simmons pożegnał drukarza i wrócił do kancelarji Shelmore. Chciał tam być jak najśpieszniej, wiedział bowiem, że sir Reville Childerstone konferował jeszcze z młodym adwokatem w gabinecie, a Simmons Hackdale za wszelką cenę pragnął usłyszeć o czem mówili. Idąc przez ulicę pomyślał o szczelinie w ścianie, która przylegała do gabinetu jego szefa. Nie będzie to się nazywało podsłuchiwaniem, ani podglądaniem przez dziurkę od klucza, a jednak dokładnie zobaczy i usłyszy to, co go tak bardzo interesowało. Ową szczelinę w ścianie Simmons odkrył w tydzień po rozpoczęciu pracy w kancelarji Shelmore. Szczelina ta była dość duża, tak, że przyłożywszy do niej oko, można było nawet dokładnie widzieć co się działo w gabinecie. Simmons szybko wbiegł do pokoju i usunąwszy kalendarz, który zazwyczaj wisiał na owej szczelinie, począł nasłuchiwać. Po chwili przekonał się, że w gabinecie poruszano sprawę, która ostatnio była rewelacją całego niemal Southernstowe, a mianowicie kwestję zaślubin sir Reville Childerstone z panią Champernowne. Sir Reville omawiał z adwokatem Shelmore szczegóły swego małżeństwa, które zdawało się być realnem ziszczeniem jego najskrytszych marzeń. Ze słów sir Reville Simmons domyślił się, że ślub miał się odbyć wkrótce, to jest jeszcze przed Bożem Narodzeniem. Dowiedział się, że pani Champernowne miała opuścić willę swą przy ulicy Ogrodowej i przenieść się do Childerstone Parku, oddalonego o cztery mile od miasteczka. Dalsze szczegóły rozmowy coraz bardziej poczęły interesować Simmonsa.

— To znaczy, że pani Champernowne zrzeknie się swego urzędu burmistrza? — zauważył Shelmore w pewnej chwili.

— Bezwarunkowo — odparł sir Reville. — Zostawszy moją żoną, przestanie zajmować się pracą społeczną. Uważam, że spełniła już swój obowiązek w stosunku do społeczeństwa. Uczyniła dla tutejszych obywateli więcej, niż powina była uczynić.

— Pani Champernowne cieszy się w mieście ogromnym szacunkiem — zapewnił Shelmore. — Wątpię tylko czy znajdzie się w Southernstowe ktoś godny objęcia urzędu burmistrza. A co stanie się z firmą Champernowne? Czy narzeczona pańska pomyślała już o tem?

— Właśnie dzisiaj rano zapadła w tej sprawie decyzja — rzekł sir Reville. — Byliśmy obydwoje na śniadaniu w hotelu Chancellor i pani Champernowne zwierzyła mi się ze swych planów. Sprawa ta jest jeszcze tajemnicą, ale uważam, że pan, jako nasz prawny doradca, powinien o tem wiedzieć. Otóż firm Champernowne ma się przeistoczyć w towarzystwo akcyjne, panie Shelmore.

— Ach! — zawołał młody adwokat. — Doskonały pomysł! Oczywiście lady Childerstone będzie od czasu do czasu zaglądała tutaj?

— Naturalnie, większość akcyj zachowa dla siebie, by móc nadal kierować całą machiną — przyznał sir Reville. — Ja sam zamierzam również nabyć trochę akcyj, uważam bowiem, że interes rozwija się doskonale i w krótkim czasie może zacząć przynosić znaczne dochody.

— Potrzebny jednak będzie jakiś energiczny dyrektor — zauważył Shelmore.

— Tego mamy już na oku — rzekł sir Reville z uśmiechem pełnym zadowolenia. — Człowieka tego sama pani Champernowne wyszkoliła. Jest nim młody Hackdale. Bardzo zdolny chłopak! Ma on objąć stanowisko głównego sekretarza i zarządzającego. Pani Champernowne zamierza płacić mu dwa tysiące funtów rocznie.

— Widocznie wart jest takiej pensji — rzekł Shelmore. — John Hackdale uważany jest za człowieka rozsądnego i zdolnego, posiada przytem zasób niespożytej energji. Sądzę, że wkrótce obejmie swe nowe stanowisko?

— Jeszcze przed naszym ślubem — odparł sir Reville. — Właśnie chciałbym, aby pan przygotował odpowiednią umowę, którą obydwie strony mają podpisać. A propos, czy słyszał pan coś nowego o tem morderstwie?

— Absolutnie nic — odrzekł Shelmore w zamyśleniu. — Jak panu wiadomo, większa część policji zaabsorbowana jest w tej chwili strajkiem w kopalniach węglowych. Poprostu nie mają czasu zająć się tem morderstwem. Bezwarunkowo Deane został zamordowany w celach rabunkowych. Właśnie w tej sprawie chciałem z panem pomówić, sir Reville, ale dotychczas jakoś nie miałem okazji. Wie pan pewno, że nieboszczyk podróżował ostatnio po północnej części Anglji i bezpośrednio stamtąd przyjechał do Southernstowe. Gdyśmy obydwaj z Mellapontem przeglądali jego rzeczy, pozostawione w hotelu Chancellor, znaleźliśmy całą kolekcję widoków z miejscowości, które nieboszczyk zwiedził ostatnio. Między innemi znalazłem kilka kart z pańskiego niejako rodzinnego miasta, sir Reville, z Normansholt.

— No, z Normansholt? — zdziwił się sir Reville. — Więc i tam był także?

— Prawdopodobnie, tak świadczą te widoki. Śliczne, malownicze miasteczko. Widocznie Deane specjalnie się niem interesował.

— Ja osobiście w Normansholt byłem tylko raz w życiu — zauważył sir Reville. — Gdy nabyłem tam ten mająteczek, musiałem pojechać, aby obejrzeć go. Jest to historyczne miasto i bardzo ciekawe. Stary zamek, ruiny jakiegoś opactwa, mnóstwo zabytków i to wszystko.

— Otóż to — przyznał Shelmore. — Deane posiadał całą kolekcję widokówek stamtąd. Na jednej karcie znalazłem nawet jakiś znak nakreślony ołówkiem i jak gdyby wskazujący jeden ze staroświeckich budynków. Widokówka ta specjalnie mnie zastanowiła.

— A dlaczego? — zapytał sir Reville.

— Zaraz panu powiem. Jak już wspomniałem, znaleźliśmy w walizce nieboszczyka całą kolekcję rozmaitych widoków, a tylko na tej jednej karcie był jakiś tajemniczy znak. Zaciekawiło mnie, dlaczego właśnie tę kartę nieboszczyk naznaczył i dlaczego naznaczył ten dom, który właściwie nic specjalnego sobą nie przedstawia?

— O, nie widzę w tem nic dziwnego — zaśmiał się sir Reville. — Ludzie bardzo często interesują się czemś takiem, co na innych znowu nie wywiera żadnego wrażenia. Skąd możemy wiedzieć co sprowadziło Deane do tego miasteczka? Może zamierzał właśnie nabyć ten dom? Szkoda, że go nie znałem! Może zdecydowałby się kupić właśnie moją posiadłość w Normansholt! Nie mogę sobie dać rady z tymi dzierżawcami. Postanowiłem sprzedać to za każdą sumę, jeżeli sprawa dzierżawy nie wyjaśni się w najbliższym czasie.

— Pełnomocnikowi pańskiego dzierżawcy dałem termin dwutygodniowy — odparł Shelmore. — Jeżeli dzierżawca nie załatwi wszystkiego, będziemy musieli wystąpić na drogę sądową.

Sir Reville nic na to nie odpowiedział i po chwili już począł się żegnać z adwokatem. Simmons zmuszony był opuścić stanowisko swe przy szczelinie, bo właśnie po chwili drzwi gabinetu otworzyły się i sir Reville wyszedł z kancelarji. Simmons zadowolony był z tego, co słyszał, bo dowiedział się trzech bardzo ważnych kwestyj. Pierwsze: pani Champernowne miała wkrótce zostać żoną sir Reville Childerstone, drugie: firma Champernowne przeistoczona być miała w towarzystwo akcyjne, a John miał objąć stanowisko sekretarza i dyrektora z pensją dwóch tysięcy funtów rocznie; trzecie: zamordowany Deane przebywał ostatnio w Normansholt, w hrabstwie Yorkshire i przywiózł stamtąd kolekcję widoków, z których jeden oznaczył tajemniczą strzałką. Strzałka ta specjalnie zainteresowała adwokata Shelmore. Simmons wiadomości te począł sobie systematycznie układać w pamięci i doszedł do wniosku, że w każdym razie w tej chwili wiedział już więcej, niż przed kilku godzinami. Zadowolony był, że jednak dnia napróżno nie zmarnował.

Dzięki tym rewelacyjnym wiadomościom postanowił już nie mówić dzisiaj ze swym szefem o propozycji Johna. O pół do szóstej wyszedł z kancelarji, wstępując jeszcze po drodze do drukarni Pembertona, który przygotował już dlań pierwszą odbitkę korekty.

— Gdyby pan zechciał sprawdzić korektę na miejscu — zauważył drukarz — plakaty mogłyby być rozlepione jutro z samego rana.

— Im prędzej, tem lepiej — pomyślał Simmons, i wyjąwszy ołówek z kieszeni, począł skrupulatnie przeglądać korektę. — W zupełnym porządku — rzekł głośno po chwili. — Ani jednego błędu. A zatem zajmie się pan również rozlepianiem tych plaktów, prawda?

— Będzie załatwione — zapewnił Pemberton. — Plakaty wywieszone zostaną w wystawach większych sklepów i rozlepione na murach domów. Może pan być zupełnie spokojny.

Simmons pożegnał drukarza i skierował się ku drzwiom, po chwili jednak wrócił znowu i poprosił Pembertona o jedną odbitkę plakatu.

Schowawszy otrzymany plakat, Simmons skierował się w stronę domu.

Przy stole oczekiwał go już John, zniecierpliwiony, za pół godziny bowiem powinien był się udać na zwykłą swą inspekcję po mieście. Simmons w milczeniu położył przed bratem egzemplarz plakatu.

— Czyj to pomysł? — zapytał John Hackdale, czytając plakat uważnie. — Twego adwokata?

— Nie — odparł Simmons. — To panna Pretty wyznaczyła tę nagrodę. Przyszła do naszej kancelarji, oznajmiając Shelmore, że posiada większe sumy, złożone w banku na swe nazwisko i że za wszelką cenę pragnie wykryć mordercę Jamesa Deane. Shelmore zasadniczo nie wierzy w skutek tego plakatu.

— Dlaczego nie wierzy? — zapytał John.

— Powiada, że to tylko strata czasu i pieniędzy — odparł Simmons, — bo gdyby ktoś z mieszkańców Southernstowe wiedział coś o morderstwie Deane, to napewno doniósłby o tem dawno Mellapontowi.

John Hackdale nie odpowiedział, zajęty był teraz myślą o Bartlecie. Rozlepiony plakat niepokoił go ogromnie. Przecież Bertlett napewnoby się połakomił na taką znaczną nagrodę.

— Kiedy to ma być rozlepione, Sim? — zapytał po chwili — Jeszcze dzisiaj wieczorem?

— Nie, jutro z samego rana — odparł Simmons. — Dlaczego pytasz o to?

— Może jednak ktoś zna jakieś szczegóły — odparł John obojętnie napozór. — Tysiąc funtów, to pokaźna suma! Nie jednego może to skusić!

— Masz bujną wyobraźnię, mój drogi! — uśmiechnął się Simmons.

John nie odezwał się ani słowem, lecz po skończonej herbacie udał się natychmiast na miasto. Zmrok zapadał coraz gęstszy. Hackdale skierował się w stronę przedmieścia, i stanąwszy przed małym, niepozornym domkiem, zapukał do drzwi, zapytując o Jamesa Bartletta.

Po chwili Bartlett ukazał się na progu, obrzucając gościa niespokojnem wejrzeniem. Hackdale przystanął z nim na uboczu i bez żadnych wstępów, odrazu przystąpił do rzeczy.

— Jeszcze w sprawie tego morderstwa — rzekł, spoglądając badawcza na Bartletta. — Czy nikomu nie mówiłeś o tem?

— Absolutnie, panie Hackdale — zapewnił Bartlett. — Ani pary z ust nie wypuściłem. Nikt o tem nie wie, oprócz pana.

— Od wczorajszej nocy zebrałem trochę danych — ciągnął dalej Hackdale. — Wiem, że ten człowiek, nie wymieniajmy jego nazwiska, pragnął się widzieć z panią Champernowne i spotkał się z nią w ogrodzie jej willi. Po krótkiej rozmowie rozstali się. Pani Champernowne nie wie, co się potem z nim stało. Widocznie ktoś zwabił go podstępnie na piaszczystą polanę, a tam zabił go i obrabował. Rozumiecie, że pani Champernowne wolałaby to całe spotkanie zachować w tajemnicy. Ma, widocznie, jakieś swoje powody. O spotkaniu tem nikt nie wie, oprócz was i mnie, rozumiecie?

— Pojmuję doskonale, panie Hackdale, — odparł Bartlett. — Kazał mi pan milczeć, więc milczę.

— Milczcie dalej — skinął głową Hackdale. — Możliwe, że będą wam zadawać jakieś pytania. Nie przerażajcie się tem i udajcie, że nie macie o niczem pojęcia. Powiedzieliście mi kiedyś, że marzeniem waszem jest wyjechać do Ameryki do krewnych i że uczynilibyście to, gdybyście mieli pieniądze na podróż. Prawda to?

— Tak, panie, ale, niestety, pieniędzy nie mam — odparł Bartlett z zapałem. — Wyjechałbym natychmiast, nie zastanawiając się ani chwili...

— Posłuchajcie — przerwał Hackdale. — Jutro w południe z Southampton odpływa okręt do New Yorku. Jeżelibyście wyjechali do Southampton jeszcze dzisiaj wieczorem, pociągiem, odchodzącym o dziewiątej trzydzieści pięć i przyrzeklibyście mi, że wsiądziecie na ów okręt, dałbym wam sto pięćdziesiąt funtów na drogę, a po otrzymaniu pierwszej waszej wiadomości z Ameryki, przesłałbym wam telegraficznie drugie sto pięćdziesiąt funtów. Zastanówcie się, Bartlett. Czy to jest interes?

Bartlett z zapałem wyciągnął rękę.

— Zrobione! — rzekł. — Pojadę! Tak często mówiłem o tym wyjeździe, że nikogo w mieście ten nagły mój wyjazd nie zdziwi. Tak, pojadę, panie Hackdale. Zapakuję zaraz rzeczy i wyruszę o dziewiątej trzydzieści pięć do Southampton. Resztę drobiazgów będę mógł kupić jutro rano, przed odpłynięciem okrętu. Zrobione, sir!

W pięć minut potem Hackdale wręczył Bartlettowi sto pięćdziesiąt funtów i zamieniwszy z nim jeszcze słów kilka, pośpiesznie się oddalił. Nie wątpił teraz, że Bartlett obietnicy swej dotrzyma, to też uspokojony, udał się na codzienną swą inspekcję po północnej dzielnicy miasta.

Bartlett tymczasem wrócił do domu i począł pakować rzeczy swe do małej zniszczonej walizki. Serce jego rozpierała radość na myśl o rozpoczęciu nowego i tak dawno upragnionego życia. Nim jeszcze zdążył zapakować wszystkie swe drobiazgi, jakiś nowy gość zapragnął się z nim widzieć. Gościem tym był Pemberton, właściciel drukarni, który przyszedł do Bartletta, przynosząc mu zwój plakatów.

— Mam dla was robotę, Jim — rzekł. — Rozlepicie to jutro rano na murach wszystkich kamienic i rozdacie do większych sklepów. Potem zgłosicie się do mnie po dziesięć szylingów. Zrozumiano?

Bartlett rozwinął plakaty i podszedłszy bliżej do lampy, począł je odczytywać z zainteresowaniem. Tysiąc funtów nagrody za... Nagle oddał plakaty zdziwionemu Pembertonowi.

— Bardzo mi przykro, ale nie mogę się tego podjąć — uśmiechnął się grzecznie. — Właśnie zamierzam wyjechać na wieś w odwiedziny do jednego z moich przyjaciół. Może pan znajdzie kogo innego.

Bez słowa dalszych wyjaśnień, wrócił do swej izdebki i zabrał się znowu do pakowania walizki, przez cały czas jednak nie opuszczała go myśl o nagrodzie, myśl ta również nie opuszczała go po drodze na dworzec i nie dawała mu jeszcze spokoju, gdy znalazł się w pociągu, odchodzącym o dziewiątej minut trzydzieści pięć.

O dziesiątej minut dwadzieścia osiem pociąg zatrzymał się na stacji w Portsmouth. Bartlett wysiadł, ostemplował bilet w kasie i udał się na poszukiwania taniego hotelu. Podczas tej krótkiej podróży przestał już zupełnie myśleć o Ameryce, doszedł bowiem do wniosku, że tutaj, na miejscu, w Anglji, miał obecnie większe szanse zdobycia fortuny.

(D. c. n.)

POLACY NA MORZE!..



W tych dniach, Pan Prezydent Rzeczypospolitej, przyjął na audjencji delegację Ligi morskiej i rzecznej, do spraw marynarki wojennej, w osobach: prof. Niemojewskiego, inż. Gierdziejewskiego, inż. Ginsberta, kpt. Fularskiego i mg. Krzywca.

(fot. Pikiel)

KAROL KOŻMIŃSKI.

W budzie na Szczepańskim placu

Było to już bardzo dawno, za czasów, kiedy, powiedzmy, Zielony Balonik ledwie, jak pisklę z jajka, wykluwać się poczynał w zadymionej srodze, krakowskiej Michalikowej jamie, kiedy byłem sobie — malarzem. Chodziłem wówczas w autentycznej, czarnej pelerynie, w takimże dziurawym kapeluszu na głowie i wiązałem pod brodą fontaź czarnego krawatu; słowem, należałem do tych, co to, jak o nas pobożne mieszczki krakowskie mawiały — „w pelerynach chodzą, papierosy palą, w Boga nie wierzą i gołe dziewczyny malują".

Różnie to tam z temi studjami było wówczas. Latem był pejzaż — to pewna. Jesienią i wiosną, w dzień siedziało się na plantach, obserwując naturę, a w nocy — proszę nie myśleć nic strasznego: Kraków był przecie zawsze nabożnem miastem! Tak jednak, naprawdę, jak się patrzy, malowało się w zimie. Nie dziwmy się. Jak już dobry, któregoś dnia, choć i listopadowy mróz wyciął, opuszczało nasze bractwo wszystkie swe dębnickie, czy krowoderskie kryjówki, w których przecie nikt nigdy w piecach nie palił, ile że może i pieców tam nie bywało i — jak szarańcza, ciągnęło do budy. Wiadomo, Matejkowa buda — gmach był srogi, w oknach miał szyby, drzwi zamczyste, a w klasach — że to dla modela — palono srodze, było dobrze. Słowem — ranek i południe można było przesiedzieć. Co mówię: ranek—południe. A rysunek wieczorny, to pies? Nie, cały dzień niemal człek w cieple przesiedział i dopiero wieczorem, że budę na noc zamykali przecie, miał prawo iść do domu.

Zimą tedy malowało się na całego. Sztalugi stały po klasach tak gęsto, że już nieraz tego przysłowiowego palca by nie wetknął, chyba w paletę z farbami, co porozkładane były na oknach, na parapetach, na paczkach, wszędzie. Usiąść nie miałeś prawa: nie było gdzie. Mogłeś stać, a i to krzyczano ci wciąż, żeś za duży, że za szeroki, że zasłaniasz, że — i tak powietrza już mało, ktoby tam wreszcie dziś to wszystko zapamiętał. W tym lesie sztalug, lesie młodych, jak dębczaki, czy wyrwidęby, malarzy, w smugach błękitnego, napewno niezbyt wonnego dymu, tworzyło się „arcydzieła".

Świat do nas należał, mimo, że buty, oczywiście, dziurawe, miał z nas z pewnością nie każdy na nogach, że peleryny często-gęsto były wspólne, że jadło się nieraz tę tylko bułkę suchą, którą przy pracy wycierało się węgiel, a szczytem marzeń była srebrna korona— w kieszeni.

Mieliśmy fantazję, a fantazja ta pozwalała nam znosić nie tylko wszelkie prywacje, ale, co więcej i przedewszystkiem, pozwalała nam rozwiązywać wszelkie, niemożliwe napozór do rozwiązania, zadania, jak choćby opłata komornego, czy zelowanie butów, jak wreszcie, co najważniejsze, tworzenie kompozycyj.

Bo mimo, że uczono nas wówczas, że sztuka nie jest literaturą że wszystkie kanony, czy metody, to już dziś tylko przesądy — z tem jednem nie było rady: raz, czy dwa razy na rok musiała być kompozycja na zadany temat, konkurs, nagrody i basta! Kto wie, może tego jaki tam regulamin, czy statut wymagał. No, z pewnością nie wglądaliśmy w te rzeczy, to pewna, a jeśli o stosunkiem tym zawsze był bunt. Aż zdarzyło się wreszcie, że po jednej takiej, uczynionej przez nas, rewolucji, na długi czas dano nam spokój.

Oto, któregoś zimowego ranka (śnieg był niebieski, w złote od słońca plamy), minąłem drzwi wejściowe z zaspanym przy nich odźwiernym i lekko zamyślony kroczyłem po schodach. W załomie klatki schodowej, przy tablicy tam wywieszonej, stała już grupka kolegów i widać było, że wszystkie te złote medale przyszłości patrzą w coś uporczywie, a oczom nie wierzą. Rzecz prosta, myślę, temat kompozycji, słowem konkurs, zobaczmy i my, co nam los zsyła. Spojrzałem, przez chwilę przecierałem oczy, ale żadnej wątpliwości nie było. Na afiszu, jak się to mówi, „stało" wyraźnie wymalowane niebieską kredą: WALKA BYKÓW.

Tak, ani mniej, ani więcej. Piękny temat: walka, i do tego byków. Gdym się wreszcie odwrócił, by iść do klasy, już za mną spora zebrała się gromada i już też wszyscy zaczęli wydziwiać. Że to wogóle znów kompozycja, że walka, że temat, no i „z tymi bykami"...

Dziwne nam się w tem wszystkiem wydały te byki. Ale nie było rady. Czas był krótki. Na kompozycję zostawiono nam zaledwie kilka godzin, poczem wyrzucano nas na korytarz, zamykano nasze, uczciwszy uszy, prace, słowem odbywał się konkurs, sąd i rozprawa. Było późno. Trzeba się było tedy brać do roboty, i to ostro.

Boże słodki! Czegóż tam za chwilę, już na sztalugach, w naszej klasie, nie było! Walka byków — to nie żarty. Ale, biorąc rzecz znów subjektywnie, że to człowiek byłem ostrożny, myślałem sobie, że to temat wdzięczny: Hiszpanja, słońce, jak złoto, piasek areny, na którym może za chwilę krew broczyć będzie!... Że czasu nie wiele—dajmy tylko fragment na pierwszym planie, na wspaniałym rumaku — do koni zawsze miałem słabość — postawmy pikadora, z lancą, gotową do ciosu. Wszystko szło dobrze, aż do momentu, kiedy trzeba się już było brać do... Ale ten byk! Nie rysowałem przecie, jak żyję, ani z natury, ani z głowy, ani z pamięci, ani z żadnej rzeczy, nietylko już byka, ale nawet młodego cielaka. A tu... Ale po namyśle i na to znalazła się rada. Niech będzie, co chce. W głębi mego obrazu zaczerniało wnętrzne otwartego z trzaskiem wiwarjum i straszny zwierz jakiś, w podskokach, w lansadach, wybiegł na płótno mej areny.

Co to było za zwierzę, do dziś nie wiem. Byłem jednak ze siebie zadowolony. Jeszcze tylko podpis, data, jeszcze parę — genjalnych sztrychów pędzla—coup de maitre, powiedzmy — i płonącem z zapału okiem rozejrzałem się po sali...

Czegóż tam nie było na prawo, na lewo i na wprost? Było wszystko, na co się fantazja nasza zdobyć mogła. Więc walki byków, podobne do mojej, więc zmagania się straszliwe dwóch byków ze sobą, dwóch żubrów, dwóch turów, dwóch jeleni, więc malarz, malujący na pięknej, leśnej polanie, jakiegoś dzielnego byczka z natury, tak wiernie, że w końcu zdenerwowany „podobieństwem" model, jak nie trzaśnie rogami w płótno, jak nie wyrzuci swego przeciwnika łbem w powietrze!... Słowem, temat rozwiązaliśmy, jakby się zdawało — wszechstronnie.

Wkońcu wybiła oznaczona godzina. Wyszliśmy z płonącemi od natchnienia licami na korytarz, do sali weszło ciało pedagogiczne, czyli sam pan rektor, dyrektor, jak to się jeszcze nazywało wówczas, i wszyscy profesorowie, poczem pedle zamknęli drzwi...

Przez kilka minut panowała cisza. Serca nam biły ze wzruszenia.

Aż tu nagle, z poza zamkniętych drzwi, rozległ się ryk oburzenia. Drzwi otwierają naoścież i mieniący się bielą i czerwienią na obliczu nasz biedny dyrektor, a za nim świta profesorska — biegnie do nieszczęsnej, konkursowej tablicy.

Milczeliśmy, nic z tego nie rozumiejąc. Przez chwilę, długą, jak wieczność, ciało pedagogiczne przypatrywało się tematowi konkursu. Wreszcie któryś z mistrzów naszych, nie mogąc już pohamować śmiechu, zawołał:

— Któż to dopisał „byków"?...

Nikt się nie przyznał, to pewna. A sam winowajca, jak się później dowiedzieliśmy, nie uczestniczył nawet w konkursie i w michalikowej jamie, na z góry upatrzonych pozycjach, czekał na wynik.

Praca nasza poszła na marne. Konkurs — nie odbył się. Wysokie ciało pedagogiczne odeszło na swój olimp, nakrywając nas ogonem pogardy, my zaś wkroczyliśmy z powrotem na salę, jak na pobojowisko. Gdzie okiem rzuci — rogi i rogi, długie i krótkie, może nawet centkowane i kręte, jak tego chce poeta — oczy wylazłe z orbit, wywalone języki, racice, wygięte łukiem grzbiety i rozdęte chrapy. Jakaś straszliwa obora.

Popatrzyliśmy wszyscy na siebie i, nie mówiąc tego południa nic więcej, poczęliśmy szykować się ku wyjściu.

I już w drzwiach tylko jeden z mych dobrych kolegów (maluje teraz tylko estetyczne kobiety) trącił mię w bok i powiedział, westchnąwszy: „szkoda naszych byków — bo jednak temat był piękny..."

Od tego pamiętnego dnia przez dłuższy czas z konkursami dano nam spokój.



Los Toros, czyli byk daltonista. *(Uha)*



P. Macherska, jako zalotny parzygnat i p. Dominiak, jako jurny pucybut.
(fot. Brzozowski)

Refleksje człowieka poczciwego

na marginesie „Męża z grzeczności" w Teatrze Polskim.

Już oddaliśmy należny hołd świetnemu wystawieniu tej sztuki w Teatrze Polskim. Huragany śmiechu i klasków towarzyszą jej przy otwartej kurtynie. A dlaczegóż właściwie budzi taką wesołość, taki serdeczny śmiech?

Mówi się: „Nie śmiej się, dziadku, z cudzego wypadku", a jednak proszę sobie uprzytomnić: czy śmiejemy się z czegokolwiek innego, jak z cudzego „wypadku" w najszerszem tego słowa znaczeniu? Śmiejemy się wtedy, gdy komuś przytrafi się coś, co, naszem zdaniem, namby się przytrafić nie mogło. Więc śmiech jest złośliwością? Czyli czemś złem? A przecież mówi się również: „Śmiech to zdrowie". Czyżby coś złego mogło być zdrowe?

Owszem, śmiech jest zdrowy, ale egoistyczny i często niedorzeczny. Śmiejemy się np. we wspomnianej sztuce z młodzieńca, ujmującego swą grzecznością, łagodnością, dobrocią, poczciwością, czyli zaletami tak bardzo we współżyciu ludzkiem cennemi. Zaczynamy go traktować na serjo dopiero, gdy staje się chamem, brutalem i poczyna sobie ze służbą w sposób zgoła dyktatorski. Śmiejemy się ze starej panny. Dlaczego? Dlatego, że została na koszu, bo nie chciała wyjść za pierwszego lepszego jej narzeconego „konkurenta", że zdobyła się na pewną niezależność? Sympatyzujemy zato z bezduszną „panną na wydaniu", która wychodzi za pierwszego z brzega narzuconego jej młodzieńca, a potem wyprawia po ślubie najdziksze brewerje, że chciałoby się, nawet mnie, człowiekowi o anielskiej poczciwości, walić ją po obłudnej fizjonomji.

Na takie to bezdroża prowadzi nas śmiech. T. zw. „śmiech pusty". Ale choć to śmiech okrutny, jednak orzeźwia, rozprasza troski, poprawia humor. „Ergo... rideamus"...

Zwłaszcza, że narzędziami „śmiechotwórczemi" są w danym wypadku tak niepospolicie utalentowani artyści teatru Polskiego, jak pp.: Czaplińska, Lubieńska, Macherska, Leszczyński, Wesołowski, Dominiak, Bogusiński i in.

Henryk Liński.





W owalu: Jerzy Leszczyński, tryumfalnie debiutujący w roli charakterystycznej, a na lewo najzdolniejsza para młodzieży teatru Polskiego — pp. Lubieńska i Wesołowski.

(fot. Brzozowski)

JADWIGA KIEWNARSKA.

List z Paryża

Tylko dla dorosłych

— Czy chciałyby panie zobaczyć taką ekstra-paryską zabawę, coś zupełnie jedynego w swoim rodzaju? — zapytuje uprzejmy młody efeb, wdzięcznie przeginając wiotką kibić, okiem aksamitnem strzygąc zalotnie.

— Ależ tak! Ależ oczywiście! Ależ naturalnie!

— Świetnie, zatem na Mi-Carème idziemy wieczorem na „Grand Bal des Travestis au Magic City".

Półpoście w Paryżu, to coś jak weneckie zapusty. Po Bulmiszu snują się wesołe tłumy poprzebieranej studenterji. Fez na głowie i nocna koszula, wdziana na marynarkowy garnitur, dają nader efektowny strój turecki. Za pomocą kąpielowego prześcieradła i kilku kosmatych ręczników można skomponować ubiór perskiego księcia, wędrownego beduina, lub rzymskiego patrycjusza. Od czego bujna wyobraźnia i optymizm młodości?!

Na wszystkich ulicach pełno jest ukostjumowanych dzieci, prowadzonych na kinder-bale przez czułych rodziców. Milusińscy, przeczarowani staraniem troskliwych mam na ważki, motylki, kwiatki i pajace, noszą się górnie i chmurnie. Miny mają dostojnie uroczyste, niemal znudzone. Trudno, widać, że umiejętność bawienia się jest sztuką, której człowiek uczy się z wiekiem. Czasem dopiero na starość.

Wieczorem były zabawy dla dorosłych. Choć noc była wilgotna i zimna, wielki tłum gapiów wystawał przed salą balową, przyglądając się ściągającej zewsząd, cudacznej zaiste publiczności. Porządku pilnuje wzmożony kordon policji. Wszystko chłopcy naschwał, rosłe i jeden w drugiego, przystojne. Widać, że sympatyczny komendant Paryża, pan Chiappe, pełen jest uprzedzającej delikatności względem wszystkich mieszkańców stolicy bez wyjątku. Niech wszystkim będzie jaknajprzyjemniej. Życie jest i tak dosyć przykre — taka jest dewiza paryskiej tolerancji.

Na bal walą łumy. W szatni i na schodach taki ścisk, że zostawienie okrycia w kontramarkarni przedstawia poważną trudność.

— Ależ ciasno! Skąd się tego tyle nabrało?

— O, proszę pani, nas jest w Paryżu około stu pięćdziesięciu tysięcy — mówi efeb z źle tajoną dumą.

— Co za czasy!...

— No, no!

Nareszcie jakiś stopień, czy estrada, z której się można rozejrzeć. Pierwsze wrażenie: na balu są same kobiety. A potem odkrycie: te kobiety to mężczyźni. Mężczyźni, poprzebierani w karykaturalne kostjumy kobiece. Stare hiszpańskie duenje, pudrowane markizy, z dystynkcją manewrujące lornetkami. Najwięcej karykatur strojów z końca ubiegłego stulecia i początku bieżącego. Chwieją się olbrzymie kapelusze, straszydła na wróble, wsadzone na bakier na peruki z końskiego włosia. Zalotnie unoszone krynoliny odsłaniają nieprawdopodobne perkalowe dessous. Znać, że większość kostjumów ma dowieść czarno na białem, jak brzydkiem i komicznem stworzeniem jest właściwie kobieta.

Nie brak zresztą i strojów zalotnych, bardzo nieraz estetycznych. Dumnie stąpa jasnowłosy Romeo w opiętym, błękitnym trykocie i bufiastych, aksamitnych spodenkach. Przebiega piękny, umalowany na srebrno niewolnik, w kremowym, jedwabnym turbanie. Wśród burzy oklasków przesuwa się po ustawionym na środku sali pomoście „rajski ptak", olśniewająca nagość, cokolwiek zaledwie przysłonięta wąskiemi opaskami, jarzącemi od brylantowego haftu. Żółte ogony rajskich ptaków otaczają głowę i ciało jasną aureolą. Brylantowa maseczka kryje zazdrośnie tajemnicę twarzy. Któż śmiałby, widząc tę uroczą zjawę, dziwić się węgierskiemu jury, które podobną krasą zwiedzione, przyznało tytuł „miss Budapeszt" — mężczyźnie.

Piękny jest „rajski ptak", ale przecie nie najpiękniejszy. Bo oto, z kocią zwinnością, wynurkowuje z tłumu młody „gaucho", w cytrynowych spodniach i rozchylonej na piersiach, perłowej koszuli. Gęste, popielato-bląd włosy, zczesane ma do tyłu. Twarz męskiej Alraune. Kuszący uśmiech, wiszącego w Luwrze, Dionyzosa, pędzla boskiego Leonarda.

Efeb zadrżał, jakby iskrą elektryczną rażony.

— Bardzo panie przepraszam, ale... ale ja muszę z nim zatańczyć.

Tyleśmy go widziały.

Sytuacja nie jest, zresztą, bynajmniej groźna. Dookoła wre w najlepsze zabawą. Tańczą pary, grzeczne jak u babci na imieninach. Smukła kobieta w męskim smokingu całuje z szacunkiem wyciągniętą ku niej wielką łapę draba w stroju hurysy. Dwa psotne pierroty, łaskoczą pawiemi piórami nagi, atletyczny tors gladjatora. Ale kobieta normalna, normalnie ubrana kobieta, w wieczorowej sukni, może się tu czuć bezpiecznie jak w klasztornym wirydarzu. Najwyżej nachyli się nad nią jakaś maszkara, zlustruje od stóp do głów, i odejdzie ze zgorszonym okrzykiem:

— A fe! to naprawdę kobieta.

Na kolorowym horyzoncie wykwita wytworna sylweta Wielkiego Mistrza. Był zajęty gdzieindziej, ale musiał przecie zrobić acte de présence. Jakżeby inaczej. Biedermayerowski frak z czarnego aksamitu, śnieżne, koronkowe żaboty i krezy. Włosy i loki liworyzowane. W ręku bouquet romantique w srebrnym, papierowym mankiecie. Orszak: malarz portrecista, żona, figura niema, i strojna dama, klijentka w peruce z włosia, polakierowanego na szafirowo. Jasnem jest, że Król Mody postanowił doszczętnie zeszpecić wrogi ród niewieści.

Powraca nasz efeb, z pałającemi policzkami i oczyma, szczęśliwy i zadyszany. Jego tancerz uśmiecha się do nas prześlicznie, jak rozrywana na balu przez młodzież panna na wydaniu, do dobrodusznych, starych ciotek.

Możnaby zatańczyć z efebem; jest pełen uprzedzającej kurtuazji. Ale po co mu robić przykrość? Lepiej wejść bez reszty w rolę matkującej matrony.

— Zmęczyłeś się, dziecko. Odpocznij, napij się lemonjady. Masz tu puder i lusterko, a tu pomadkę do ust. A może pastylkę różaną, na odświeżenie oddechu?

— Dziękuję. O, dziękuję! Ciocia jest dla mnie za dobra.

— A nie flirtuj, dziecko, z samymi tylko smarkaczami. O widzisz, ten piękny, siwy pan w aksamitnym fraku, pożera cię wzrokiem. To bardzo bogaty i wpływowy człowiek.

— Ale mnie się zdaje, ciociu, że on już ma narzeczoną.

— Honny soit qui mal y pense! Można osobiście nie znosić kiszonej kapusty, ale czemu potępiać tego, co ją jada? Niech mu idzie na zdrowie.

Tego samego widać zdania jest pan prefekt Chiappe i jego sympatyczna ekipa, wiernie trwająca na posterunku do białego rana, dzielnie parująca mnogie docinki i czuwająca... nad czem? Tego właśnie zgłębić nie zdołałam.

Wśród książek

„Majątek Państwa Polskiego", opracował inż. Stanisław Kruszewski. Wydawnictwo Ministerstwa Skarbu. Warszawa, 1931.

Majątek Państwa Polskiego składa się z różnorodnych objektów; stanowią je nieruchomości i ruchomości w administracji cywilnej i wojskowej; majątki ziemskie, lasy, bogactwa mineralne, środki komunikacji. Państwo posiada przedsiębiorstwa, które prowadzi bądź we własnym zakresie, bądź wydzierżawia; operacje kredytowe dla poszczególnych celów gospodarczych prowadzi za pośrednictwem własnych banków; pozatem posiada udziały w przedsiębiorstwach i bankach prywatnych; do majątku Państwa również należy gotowizna, lokaty i należności Skarbu Państwa. Cały majątek państwowy lub poszczególne jego objekty są w pewnym stopniu obciążane długami wewnętrznemi i zewnętrznemi.

Świadomość podziału objektów majątkowych w Państwie, pomiędzy własność prywatną, komunalną a państwową, ma duże znaczenie dla orjentacji i kierownictwa życiem gospodarczem na wielu odcinkach. Brak odpowiedniego instytutu naukowego, któryby podjął zadanie dokonania badań w tym zakresie, skłonił Ministerstwo Skarbu w końcu 1926 r. do podjęcia podstawowych badań we właściwym zakresie, celem ścisłego ustalenia wszystkich zasadniczych elementów świadomej polityki finansowo-gospodarczej. Z początkiem 1927 r. Ministerstwo Skarbu przystąpiło do zamortyzowania i oszacowania majątku państwowego, powierzając wykonanie tej pracy inż. Stanisławowi Kruszewskiemu, który wyniki jej zestawił w książce, wydanej przez Min. Skarbu p. t. „Majątek Państwa Polskiego". Rzecz ta poprzedzona jest słowem wstępnem Kierownika Ministerstwa Skarbu I. Matuszewskiego oraz przedmową Wice-Ministra Skarbu St. Starzyńskiego; zdobi ją obfity materjał ilustracyjny oraz liczne mapy; tekst uzupełniają ponadto tablice cyfrowe. Każda grupa objektów majątkowych, została bardzo treściwie scharakteryzowana, zainwentaryzowana ilościowo, a następnie oszacowana w postaci szczegółowej i całkowitej wartości w złotych na dzień 1 stycznia 1927 r.

Szacunek określono według ujętych w części wstępnej książki metod, które dały jednolitą podstawę szacunkową, pozwalającą na sumowanie wartości wszystkich objektów.

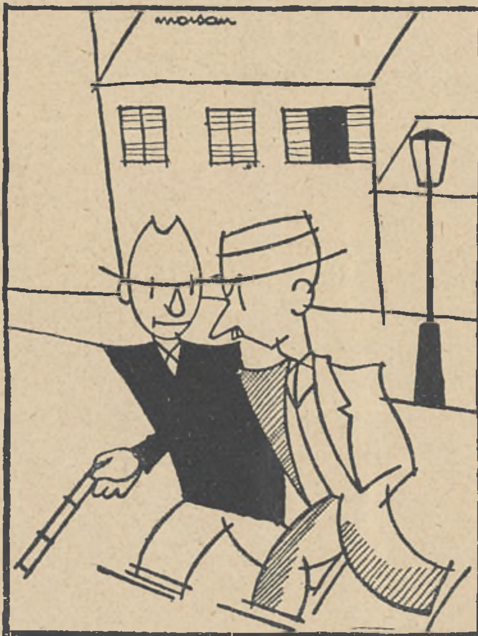
Obliczona temi metodami wartość całego majątku państwowego brutto, t. j. bez zadłużeń, wyraża się w okrągłej kwocie 16 miljardów 401 miljonów 578 tysięcy złotych. Zadłużenie wewnętrzne na dzień 1 stycznia 1927 r. wynosiło 577 miljonów 790 tys. zł., zewnętrzne — 3 miljardy 784 miljony 373 tys. zł., zatem całkowita wartość majątku państwowego netto, t. j. po potrąceniu zadłużeń, wynosiła na dzień 1 stycznia 1927 r. — 12 miljardów 617 miljonów 205 tysięcy złotych.

Dla badaczów zagranicznych szczegółowe zestawienie całkowitej wartości grup i poszczególnych objektów majątku państwowego podane zostało oprócz polskiego, w językach francuskim i angielskim.

Szybką orejntację, co do majątku państwowego, ułatwia niezmiernie dołączona do książki 7-mio barwna „Mapa Poglądowa majątku państwowego Rzeczypospolitej Polskiej", grupująca wg. województw, w skali ilościowej poszczególne objekty majątkowe. Może być ona cennym przyczynkiem do nauki o Polsce do użytku szkolnego i pozaszkolnego. Wydanie książki wyjątkowo estetyczne i staranne.

Stanisław Szpotański. — Bez ziemi i bez nieba. Nakł. Księg. Św. Wojciecha, 1931.

Do szeregu historycznych powieści pióra Stanisława Szpotańskiego, przybyła obecnie nowa, poświęcona tym razem krwawemu epizodowi z dziejów Małopolski — ponurej rzezi galicyjskiej, „Bez ziemi i bez nieba" — to czasy, w których zdawało się, że w dalekim Wiedniu podpisano ostateczny wyrok na polskość w zaborze austrjackim, kiedy przeciw niezorganizowanemu elementowi ziemiańskiemu — podniesiono ciemne masy chłopstwa. Sprowokowano je do czynów, przed któremi wzdryga się dusza każdego kulturalnego człowieka. Sługy cesarscy zagalopowali się jednak w swych zbrodniczych poczynaniach, gdyż, pomijając już względy sprawiedliwości w stosunku do polityki narodowościowej — uzbrajanie osobników w rodzaju Szeli i granie na najniższych instynktach tłumów, może wywołać zaburzenia o nieobliczalnych skutkach i zasięgu, wykraczającym poza zakreślone granice. Zasługą autora jest to, iż dokładnie znając materjał naukowy dziejów Polski z czasów drugiej ćwierci wieku XIX-go, znakomicie umiał odtworzyć ciekawą postać krwawego zbira, Szeli, i nie pominąć żadnego ze szczegółów jego charakterystyki — sprytu, bezwzględności i ambicji. Niemniej trafnie naszkicowane zostało tło tej ponurej epopei, w której niska kultura ludu i chwiejność ziemiaństwa były głównemi atutami w rękach polityków wiedeńskich. „Bez ziemi i bez nieba" należy do najlepszych powieści St. Szpotańskiego.



— *W jaki sposób zdobyć trochę grosza?*
— *Ja mam sposób...*
— *???*
— *Oddaj mi tego pięćdziesiątaka, który ci pożyczyłem.*

*

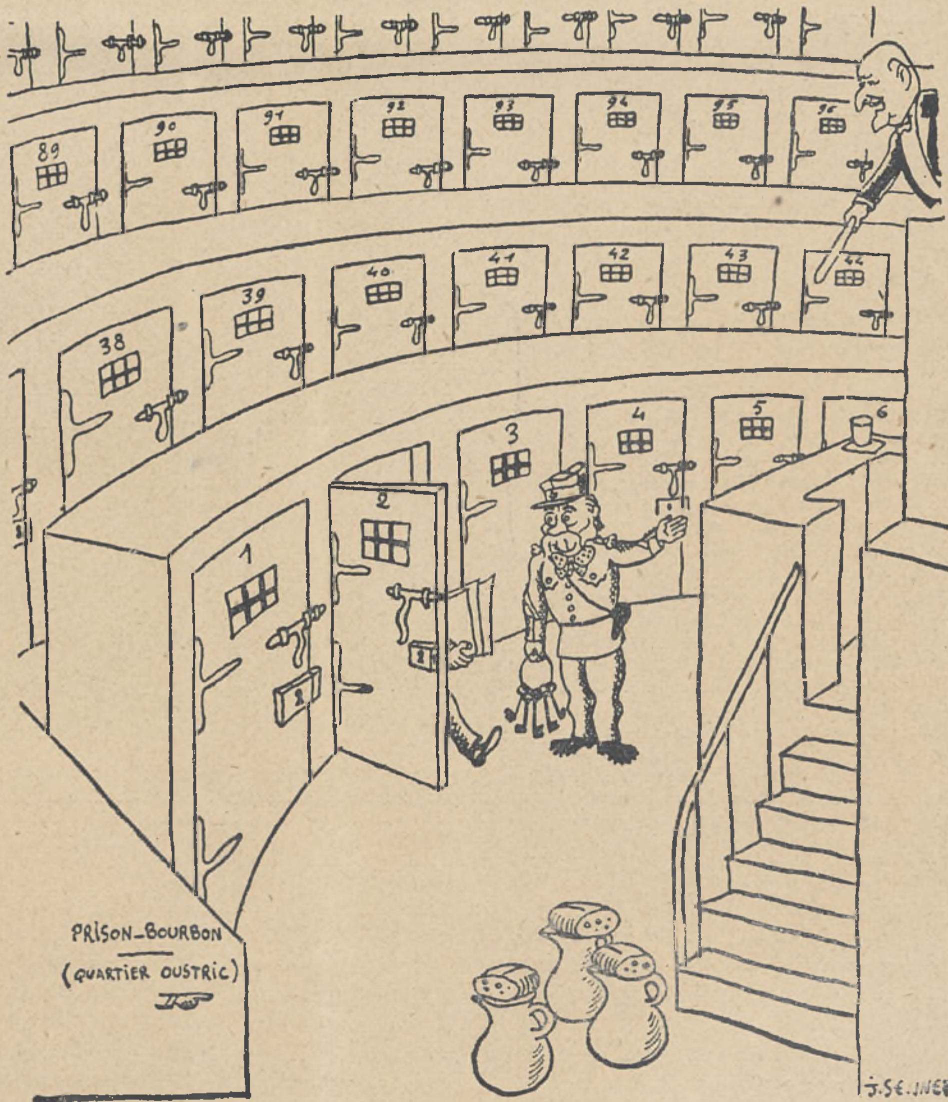
Gustaw Morcinek. — „Byli dwaj bracia". — Nakł. Księg. Św. Wojciecha. Poznań, 1931.

Pomimo, iż trudno posądzić kogokolwiek o brak sentymentu dla Ślązaków — ogół społeczeństwa mało jeszcze wie o życiu tych braci naszych, którzy samorzutnie chwycili za oręż w obronie przeciw zaborcom — w imię ideałów, łączących ich z Macierzą. A lud to ciekawy, silny i wierny — niewzruszony. Lud szary, wychowany w ciężkim znoju na ojczystym ugorze, w podziemiach kopalni lub w dymach fabrycznych, lud ciemiężony od wieków — ze wszech miar zasługuje na bliższe poznanie jego bytu i obyczajów oraz ideałów, dzięki którym zachował przywiązanie dla Ojczyzny. W powieści obyczajowej autora „Serca za tamą" znajdujemy właśnie wiele z tych ciekawych i wzruszających rysów.

Stanisław Wasylewski. — „Lwów". — Wydawnictwo Polskie R. Wegnera. Poznań, 1931.

Nowy tom z pięknego cyklu „Cuda Polski" nie zawiódł naszych oczekiwań. Bo czyż można było znaleźć lepszego autora dla skreślenia monografji o Lwowie... Stanisław Wasylewski, jako dziecko Lwiego Grodu, zamiłowany szperacz i wielki artysta wlał całą duszę w tę pracę. Niema zakątka, któryby tu nie znalazł swej karty, niema epoki, którejby autor nie oddał hołdu, niema słów, którychby oszczędził dla opisania przedziwnego uroku Lwowa. A że czyni to po mistrzowsku rozwijać przed czytelnikiem bogatą gamę kolorów i wydobywając cudowne efekty z każdego szczegółu — książką swą czaruje i budzi nowe zainteresowanie do miasta, dla którego wszyscy żywimy głęboki kult. Jednego tylko nie sposób rozstrzygnąć, co w monografji więcej cenić należy — czy fakturę historyka, czy wnikliwego artysty. Jedyna ta wątpliwość tem większy zaszczyt przynosi autorowi.

Współczesny Parlament



— *Numer 2-gi dopuszczony jest do głosu.. Wyłazić!*
(Gringoire)

E. M. SCHUMMER.



Ze względu na chęć kupienia psa, wyrażoną przez autora w powyższym artykule, redakcja reprodukuje dwa okazy, będące stale na składzie.

Postanowiłem kupić suczkę.

Dlaczego — zapytacie — postanowił autor kupić suczkę? I dlaczego akurat suczkę? I — wogóle — co to za temat!... Co to nas może obchodzić, czy autor kupi tę suczkę, czy nie!

Proszę mnie jednak zrozumieć...

Otóż — mieszkam samotnie. W dzielnicy podmiejskiej. Po nocach snom moim ciężkim, jak kamień młyński, potwornym, koszmarnym, infernalnym, wtóruje jeno cmentarny (jak mi się wydaje) poszum jodeł, przeraźliwy płacz kotów i złowieszczy, ścinający krew w żyłach, krzyk puhacza. W taką noc nierzadko o szyby okien mego gabinetu tłucze się oślizgłe ciało zwiedzionego światłem lampy nietoperza. Mruga na mnie djabelskiem okiem, zatrzepoce skrzydłami i odlatuje, zostawiając mnie samego. Nie! Nie samego. Zostaje wraz ze mną — z g r o z a!...

Pojmujecie teraz, dlaczego postanowiłem kupić sobie tego psa. Poprostu, aby *laetificabat iuventutem meam!*

Dałem więc do kurjera ogłoszenie i czekam.

Schopenhauer miał także suczkę, która...

Domyślam się, że ponownie chcecie przerwać wątek moich myśli i powiecie, że dlatego, iż Schopenhauer miał suczkę... Ale nie — nie jestem filozofem i nie dlatego kupuję suczkę, że pragnę naśladować mistrza...

Powróćmy jednak do rzeczy. Schopenhauer miał suczkę. Był to pudel. Filozof nazwał go *Atma*, co znaczy po sanskrycku *Dusza Świata*. Skoro zatem wielki filozof nazwał tak swego psa, pojmujecie, że nie należałoby nam wątpić o celowości tej nazwy.

O ile Schopenhauer nie cierpiał kobiet (już to przyznać trzeba, że kobiety nie mają szczęścia do filozofów, bo przecież i Nietzsche...) — o tyle uwielbiał psy. Na ścianach jego gabinetu można było oglądać 16 wspaniałych, angielskich, kolorowych sztychów. Same psy! Żywy był atoli tylko jeden. Właśnie — Atma.

Filozof kochał Atmę, Atma kochała filozofa i dobrze im się działo. Lecz Atma zdechła. *Le chien est mort* — rzekł mistrz sentencjonalnie i zaraz dodał: — *vive le chien!* Poczem wyhodował sobie drugą Atmę (Atma Nr. 2), która do złudzenia przypominała swą matkę. Ta druga Atma przeżyła filozofa i odziedziczyła po nim wcale pokaźną rentę.

Niezmiernie są interesujące rozważania filozofa nad psią duszą. „Pies — powiada Schopenhauer — jest jedynem zwierzęciem, które potrafi wyrazić zadowolenie lub zaśmiać się... kręcąc lub wymachując ogonem... i czyni to o ileż wdzięczniej, niż człowiek, strojący obłudne grymasy!"

„Pies łamie sobie głowę nad dociekaniem, jaka też tkwić w tem może przyczyna, że nie pozwalają mu robić tego i owego na środku salonu, tylko momentalnie wypychają go za drzwi. Aż wkońcu pojmie i wtedy podziwia niezgłębioną mądrość człowieka". Oto jest pies!

Entuzjastycznie (acz nieco po marsylsku. Przyp. Red.) opowiadał o wytrwałości i zmyślności legawców i gończych, baron von Münchhausen. Oto pewnego dnia, naprzykład, uganiał się za zającem, w towarzystwie oddanej sobie suczki, Djany. Wtem i pies, i zając zniknęli mu z oczu. Z oddali słychać było coraz cichsze naszczekiwanie, lecz i te wkrótce ustały. Zapadła głęboka cisza. Nagle szczekanie znowu zerwało się, znowu, ale jakieś inne, piskliwe. Zdawało się, że szczeka cała sfora psów. Niebawem pojawiła się Djana, dźwigając w pysku dużego zająca, a za nią — nie do wiary! — sześć małych, chwiejących się jeszcze na łapach, szczeniaków. Co dziwniejsze, że każde szczenię trzymało w zębach małego zajączka. Cóż się okazało! Djana, która była w odmiennym stanie, oszczeniła się w czasie gonitwy. To samo przytrafiło się zajęczysze. Małe zajączki instynktownie zaczęły umykać. Małe pieski instynktownie poczęły je gonić. Tableau! I oto baron, który udał się na łowy z jednym psem, powrócił z całą sforą i objuczony siedmioma zającami...

Przeczytajcie sobie miłą książeczkę Zofji Nałkowskiej i Marji Jehanne Wielopolskiej, w której te znakomite panie opowiadają, jak wiele wzruszeń zawdzięczają swym psom, zajęcom, papugom i t. d. Niewątpliwie jednak psy były źródłem ich najwyższych emocyj.

A tymczasem pospolita tłuszcza ludzka darzy psy czarną niewdzięcznością. Nie wiem, dlaczego ludzie umyślili zepsuć psom ich dobrą opinję. Niedorostki już przezywają się niejednokrotnie: — „Ach, ty, fałszywy psie!" i ta obelga jakże jest niezasłużona (dla psa, rzecz prosta, nie dla niedorostka!). Jeżeli poniektóry mąż jest łajdak, podwikarz, czy co gorszego, jego żona użala się przyjaciółkom. I — o, hańbo! — łży nie męża, lecz psa.

— Pies — nie człowiek!

Chociaż z drugiej strony (trzeba przyznać), że mocno również nadwyrężyła psią renomę i literatura piękna.

Goethe, naprzykład, mocno sławę psią nadszarpnął i zdyfamował w jednym wierszu. Przeczytał to Schopenhauer i ogarnęła go pasja. Filozof, który naogół licho władał mową wiązaną, przysiadł fałdów i skreślił madrygał w obronie psiej sławy. „Wcale mnie nie dziwi — pisał — że ten i ów na pieski sobaczy. — Ileż to razy pies przykro człowieka zawstydza! — *Denn es beschämt zu oft leider den Menschen der Hund*"...

Powinniśmy się kajać i przywrócić psom sławę. Za powiedzenia i powiedzonka, uwłaczające psom, jako to: „psia krew", „psia kość", „psia mać", „psia kulka" i tym podobne, Towarzystwo opieki nad zwierzętami powinno nakładać winowajcy ciężką grzywnę, albo zgoła kaganiec. Tak. Nie możemy bowiem żadną miarą zgodzić się, aby „przyjaciela człowieka" nazywać... p s e m, wówczas, kiedy Zagłoba największych oczajduszów i zdrajców ojczyzny mieni nazwą... arcypsów!

Aut-aut, albo pies jest „wierny, jak pies", albo pies jest „fałszywy, jak pies", czyli — jak powiada Zagłoba — arcypies!

Tertium non datur!

— — — — — — — — — — — —

Najlepsza stosunkowo rzecz w człowieku, to jego pies — rzekł raz pewien filozof, który kochał psy i nie lubił ludzi.

Pojmujecie więc, że muszę mieć psa. Może kto z Sz. Państwa ma okazyjnie do odstąpienia. Co?

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.

Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe

Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.